

Wstęp

Nie przypisuję sobie szczególnych talentów recytatora, jest to jednak umiejętność, której można się nauczyć. Nie podobał mi się sposób czytania wierszy przez aktorów, musiałem więc nauczyć się, jak to robić samemu, nie tylko po polsku, także, ze względu na moje wieczory autorskie w Ameryce, po angielsku. I polubiłem samo to przenoszenie znaków literowych na głos, niezależnie od tego, czy były to moje własne wiersze, czy wiersze innych poetów. W Laboratorium Lingwistycznym w Berkeley nagrywałem ballady Mickiewicza i poezję Józefa Czechowicza. Niniejsza "antologia osobista" jest wyborem zrobionym bardziej dla potrzeb głośnego czytania niż ze względu na drogą mi treść. Niełatwo było rozstrzygnąć, co z całego mego dorobku zmieścić na kasetach, a co pominąć. Chodziło o to, żeby słuchacz-czytelnik, słuchający i czytający wrywkowo, miał do swojej dyspozycji możliwie dużo odmian mojej poetyckiej twórczości. Stąd też ograniczenia: na przykład wolałbym dać moje dłuższe poematy w całości, ale w całości znalazł się tu jedynie Świat, inne są reprezentowane przez poszczególne ich części. Mam nadzieję, że ten eksperymentalny pomysł wydawcy, zestawienie drukowanego tekstu z głosem, pomoże w rozumieniu wierszy, przez to, że dwie techniki będą wspierać się wzajemnie. Jeżeli w słuchaniu coś w wierszu będzie wydawało się niejasne, tekst obok pozwoli rzecz sprawdzić i wyjaśnić. I na odwrót, w czytaniu może powstać wątpliwość co do tonu i intencji wypowiedzi, a wtedy głos dostarczy wskazówki. Być może wiele osób woli lekturę-słuchanie jednym ciągiem, bardziej prawdopodobna wydaje mi się jednak wrywkowość, wcale nie mniej korzystna dla autora, bo zapewnia więcej uwagi. Moje ostatnie książki, w tym Piesek przydrożny, liczą się z takimi właśnie upodobaniami dzisiejszego czytelnika, który lubi otworzyć książkę w środku i obcować z jedną albo kilkoma jej stronicami. Wiersz "Elegia" był napisany w 1935 roku. Elegia Ni zapomnieniem wiecznym, ani pamiętaniem, mgłą gór, ni stolic wrzawą świat nie uspokoi. Aż po latach bojowań krzyż albo i kamień, i ptak zaśpiewa na nim jak w ruinach Troi. Miłość, jadło, napoje towarzyszą w drogach, ale nie ku nim bystre zwróciły się oczy Ciężkie, senne powieki światłość pali sroga i czas ostrzega cicho, nim ciało przekroczy Dobre zwierzęta wierne, ludzie krótkotrwali szarpia na próżno ręce skrzepłe w zachwyceniu. A z ziemi głos powstaje: potomku nasz, cieniu, czyżbyśmy darmo ciebie tak długo wołali? Paryż, 1935 "Pieśń", wiersz napisany mniej więcej w tym samym czasie co poprzedni, może trochę wcześniej - 1934. Jest to rozmowa kobiety z Chórem, Pieśń `ty Gabrieli Kunat `ty `ty Anna `ty Ziemia odpływa od brzegu na którym stoję i coraz dalej świecą jej trawy i drzewa. Pączki kasztanów, światła lekkiej brzozy już nie zobaczę was. Z ludźmi umęczonymi oddalacie się, ze słońcem kołysanym jak Maga biegniecie w stronę nocy, boję się zostać sama, prócz mego ciała nic nie mam - ono błyszczy w ciemności, gwiazda ze skrzyżowanymi rękami, aż straszno mi patrzeć na siebie. Ziemio, nie opuszczaj mnie. `ty Chór `ty Z rzek dawno spłynęły lody, bujne wyrosły liście, pługi przeszły po polach, borkują w lasach gołębie, górami sarna przebiega, pieśni weselne krzyczy, kwiaty wysokie kwitną, parują ciepłe ogrody. Dzieci rzucają piłką, tańczą na łąkach po troje, kobiety bieliznę piorą w strumieniach i łowią księżycę. Radość wszelka jest z ziemi, nie masz prócz ziemi wesela, człowiek jest dany ziemi, niech ziemi tylko pożąda. `ty Anna `ty Nie chcę ciebie, nie skusisz mnie. Odpływaj, sioostro pogodna, czuję twój dotyk jeszcze, twój dotyk szyję mnie pali. Noce miłosne z tobą gorzkie jak popiół chmur, a świt nadchodził po nich w czerwieni, nad jeziorami niosły się pierwsze rybitwy i smutek taki, że płakać nie mogłam już, tylko leżąc liczyć godziny ranka, słuchać zimnego szumu wysokich martwych topoli. Ty, Boże, miłościw mnie bądź.

Od ust ziemi chciwych odłącz mnie. Od pieśni jej nieprawdziwych oczyść mnie.
`ty Chór `ty Kręca się kołowroty, ryby trzepocą się w sieciach, pachną
pieczone chleby, toczą się jabłka po stołach, wieczory schodzą po schodach, a
schody z żywego ciała, wszystko jest z ziemi poczęte, ona jest doskonała. Chyla
się ciężkie okręty, jada miedziani bratowie, kołyszą karkami zwierzęta, motyle
spadają do mórz, kosze wędrują o zmierzchu i zorza mieszka w jabłoni, wszystko
jest z ziemi poczęte, wszystko powróci do niej. `ty Anna `ty O, gdyby we
mnie było choć jedno ziarno bez rdzy, choć jedno ziarno, które by przetrwało,
mogłabym spać w kołysce nachylanej na przemian w mrok, na przemian w świt.
Spokojnie czekałabym, aż zgaśnie ruch powolny, a rzeczywiste nagle się obnaży i
tarczą nowej nieznanym twarzy spojrzy kwiat polny, kamień polny. Wtedy już
oni, żyjący kłamliwie, jak wodorosty na dnie wód zatoki, byłiby tym, czym leśne
iglowie dla kogoś, kto w las patrzy z góry, przez obłoki. Ale nic nie ma we
mnie prócz przestrachu, nic oprócz biegu ciemnych fal. Ja jestem wiatr, co
niknąc w ciemnych wodach dmie, wiatrem jestem idącym a nie wracającym się,
pyłkiem dmuchawca na czarnych łąkach świata. `ty Ostatnie głosy `ty W
kuźni nad wodą młotek uderza, schylony człowiek naprawia kosę i świeci głowa w
płomieniu ogniska. Pierwsze łuczywo zapala się w izbie, na stół głowę kładą
parobcy zmęczeni. Już misa dymi, a świerszcze śpiewają. Wyspy są zwierzętami
śpiąciami, w gnieździe jeziora układają się mruczac, a nad nimi obłok waziatki.
Wilno, 1934 "Pieśń" była pierwszym moim wierszem przetłumaczonym na język
francuski przez mojego kuzyna Oskara Miłosza i opublikowanym we Francji, co
mnie, wówczas młodemu człowiekowi, oczywiście sprawiło dużą przyjemność i wbiło
mnie w dumę. "Roki" jest to wiersz napisany w Wilnie w 1936 roku. Wiersz,
który w pewnym sensie usprawiedliwia nazwanie mnie i moich kolegów
katastrofistami. Roki Wszystko minione, wszystko zapomniane, tylko na
ziemi dym, umarłe chmury, i nad rzekami z popiołu tlejące skrzydła i cofa się
zatrute słońce, a potępienia brzask wychodzi z mórz. Wszystko minione,
wszystko zapomniane, więc pora, żebyś ty powstał i biegł, chociaż ty nie wiesz,
gdzie jest cel i brzeg, ty widzisz tylko, że ogień świat pali. I nienawidzić
pora, co kochałeś, i kochać to, co znienawidziłeś, i twarze deptać tych, którzy
milczącą piękność wybrali. Pustką, aleją, wawozami niemych - gdzie wiatr na
szepty każdy głos zamienia albo w sen twardy z odrzuconą głową iść. Wtedy...
Wtedy wszystko we mnie było krzykiem i wołaniem. Krzykiem i wołaniem ruń
czarnych wiosen rozdzierała mnie. Dosyć. Dosyć. Nic się przecie nie śniło. Nikt
nic o tobie nie wie. To wiatr tak w drutach dmie. Więc pora. Ja tę ziemię tak
kochałem, jak nie potrafi nikt w lepszej epoce, kiedy są dni szczęśliwe i
pogodne noce, kiedy pod łukiem powietrza, pod bramą obłoków, rośnie to wielkie
przymierze wiary i siły Teraz ty musisz ciasno oczy mrużyć, bo góry, miasta i
wody się spiętrza, i to, co przygniecione trwało - naprzód runie, co naprzód
szło - upadnie wstecz. Tak, tylko ten, co krew od innych miał gorętszą, na
cwałującym stanie złotych głów tabunie i z krzykiem w dół obróci ostry miecz.
Minione, minione, nikt nie pamięta win, tylko drzewa jak w niebo rzucone
kotwice, stada spływają z gór, zasłały ulice, kręca się szprychy, oplata nas
dym. Wilno, 1936 Krótki wiersz "Spotkanie". Napisany w Wilnie w 1937
roku. Nigdy się wtedy nie mógłbym domyśleć, że ten wiersz będzie w kolejce
podziemnej w Nowym Jorku umieszczony przez Towarzystwo Propagandy Poezji,
oczywiście w przekładzie na język angielski. Spotkanie Jechaliśmy
przed świtem po zamarzłych polach, Czerwone skrzydło wstawało, jeszcze noc. I
zając przebiegł nagle tuż przed nami, A jeden z nas pokazał go ręką. To było
dawno. Dzisiaj już nie żyją Ni zając, ani ten co go wskazywał. Miłości moja,
gdzieś są, dokąd idą Błysk ręki, linia biegu, szelest grud - Nie z żalu
pytam, ale z zamyślenia. Wilno, 1937 Wiersz "W mojej ojczyźnie"
został napisany w 1937 roku, kiedy wyjechałem z Wilna, przeniosłem się wtedy do
Warszawy i to uważałem w pewnym sensie za moją pierwszą emigrację. W mojej
ojczyźnie W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę, Jest takie leśne jezioro
ogromne, Chmury szerokie, rozdarte, cudowne Pamiętam, kiedy wzrok za siebie

rzucę. I płytkich wód szept w jakimś zmroku ciemnym, I dno, na którym są trawy cierniste, Mew czarnych krzyk, zachodów zimnych czerwien, Cyranek świsty w górze porywiste. Śpi w niebie moim to jezioro cierni. Pochylam się i widzę tam na dnie Blask mego życia. I to, co straszy mnie, Jest tam, nim śmierć mój kształt na wieki spełni. Warszawa, 1937 Wiersz "Siena" był napisany w 1937 roku z okazji mojej pierwszej podróży do Italii. Występuje tam Siena jako miasto malarstwa, miasto sztuki, i przeciwstawiona jest Śląskowi, a Śląsk dla mnie był krajem nędzy, cierpienia, i dziwne, ale jakby Śląsk tutaj bierze górę w tym wierszu. Jest zresztą podpisany ten wiersz "Siena-Śląsk". Siena W tym cała piękność snu, że krew nie płynie, ale zastyga w znak, gdy dotknie miecz, w tym cała piękność snu, że w ciemnej glinie jest odpoczynek wśród anielskich rzesz. I złota wije się dokoła żmija i wszystko tutaj trwa, choć nic nie mija. O głodzie głucho tu, co nas pożera, bo kwiat z marmuru lepiej się pomodli. O głodzie głucho tu. Ryta litera żyje pod nogą. My, jak blask pochodni jesteśmy, drżący pod blaskiem słonecznym. Jak ptaków głos o świcie - ostatecznym. Ach, zrozumiałym trzeba być. Więc widzę niebo błękitne nad murami Sieny. Ach, zrozumiałym trzeba być. Łodydze podobną wieżę, turniejów areny. I krzyże męki na złocie się ważą, z żurawim skrzydłem i jaskółczą twarzą. Niebieski winnic dym. Słodyczy dosyć. Ale ta słodycz od ziemi odpycha. Niebieski winnic dym. Nie o to prosić trzeba w pokorze co dzień, choćby licha była ta prośba, która głowę skłania, gdy pragnie krwi, rozkoszy i kochania. O wielki oddech rozpalonych młotów, o żuźli głuche na brzegach zwaliska, trawę zetlała u fabrycznych płotów, smutek i pary smugę, co wytryska z blaszanych daszków na niebo zmienione. O gorycz, niski los, trudną obronę. O ranne gwizdy, zamglone cysterny, wszystko, co siłą swoją serce rani, kobiet przy bramach wzrok niemiłosierny, o gwiazdę huty, za którą zbłąkani idziemy skrajem suchych pól i grzmią wagony, wagony, węgiel w nocy wiozą. A Siena spada w blask, jakby strząśnięta rosa w potoki zbiegające z gór. A Siena spada w blask i nie pamięta wzrok jej kolorów, jej kamiennych piór. Cichnie gwar widm, otwarte wrota boju. Gwiazdo, chroń nas - od szczęścia i spokoju. Siena-Śląsk, 1937 "Piosenka na jedną strunę" - wiersz napisany w Warszawie w 1938 roku. To był czas na krótko przed wojną, którą przeczuwałem jakoś. Piosenka na jedną strunę Dar natchnienia niepowrotny, W jakiś wieczór ciepły, słotny, Zrozumiałem, że jestem samotny. Przechodziłem pod ulic lipami, Deszcz mył oczy ciężkimi kroplami, Dobry deszczu, nie umiałbym łzami. Więc to jest ta wielka dojrzałość, Trochę mądrość, trochę żalność, Życia własnego niedbałość? Ostatni tramwaj zazgrzytał, Obłok na wschodzie mnie witał, Jakbym o sobie gdzieś czytał. Już zapomniany, miniony, Na most wracam jeszcze zamglony, Obłok w górze jak gołąb trafiony I zawsze, dziecinny czy siwy, Pytam, czy ktoś Sprawiedliwy Chce, żebym nie był szczęśliwy? Czy dlatego, żebym księgi pisał Albo żebym milcząc świat kołysał, Innych ludzi uśmiechem uciszał? Fala na Wiśle powiała, Ostatnia się złuda rozwiała, Miłość stygła, nienawiść zetlała. Nie pragnącym trudniej księgi pisać, Zamyślonym trudniej świat kołysać, Trudniej serce samotnym uciszać. Pierwsze słońce jaskółki spotyka, I z wyrazów biednego języka Mała, śmieszna piosenka wynika: W zielonej dąbrowie, Spali trzej królowie, Dzieciół stukał. Obudzili się, siedli, Złote jabłka jedli Kukułeczka wołała. Warszawa, 1938 Wiersz "Przedmieście", napisany w Warszawie w roku 1943, może w początku '44. To był bardzo zły i ciężki rok w Warszawie; wiersz stanowi część cyklu "Głosy biednych ludzi". Przedmieście Ręka z kartami upada W gorący piasek, Słońce zbieleła upada W gorący piasek, Felek bank trzyma, Felek nam daje, I blask przebija zlepioną talię, Gorący piasek. Przełamany cień komina. Rzadka trawa. Dalej miasto otworzone krwawą cegłą. Rude zwały, drut splątany na przystankach. Karoserii zardzewiałej suche żebro. Świeci gliniarka. Pusta ćwiartka zakopana W gorący piasek, Kropla deszczu zakurzyła Gorący piasek. Janek bank trzyma, Janek nam daje, Gramy i lecą lipce, i maje, Gramy rok drugi, gramy i czwarty, I blask przez czarne sypie się karty W gorący piasek. Dalej miasto otworzone

krwawą cegłą, Jedna sosna za żydowskim domem, Sypkie ślady i równina aż do końca. Pył wapienny, toczą się wagony, A w wagonach czyjaś skarga skamlająca. Weź mandolinę, na mandolinie Wygrasz to wszystko Ech palcem w struny Piękna piosenka, Jałowe pole, Szklanka wypita, Więcej nie trzeba. Patrz, idzie droga wesoła dziwa, Pantofle z korka, czub fryzowany, Chodź tu, dziewczynko, pobaw się z nami. Jałowe pole, Zachodzi słońce. Warszawa, 1943-1944 Teraz odczytam fragment z "Pieśni Adriana Zielińskiego". To jest postać zupełnie fikcyjna. Chodzi o człowieka, który żył w Warszawie w okresie okupacji niemieckiej, Pieśni Adriana Zielińskiego `ty III `ty Najpierw są wielcy: ludzie i drzewa, Potem są mniejsi: ludzie i drzewa, Aż cała ziemia, pola i domy, Ludzie, rośliny, ptaki, zwierzęta Stają się małe jak liść majowy, Jak bryłka gliny w ręku ściśnięta. Siebie samego nawet nie widać Ni własnej krętej po świecie drogi, Nawet umarłych nie poznajdywać - Leżą jak czarne mrówki skurczone Pod bursztynowym, szklanym zagonem I żadne oko ich nie ułowi. Wszystko tak małe, że pies prawdziwy Albo prawdziwy krzak polnej róży Byłyby wielkie jak piramidy, Jak bramy miasta dla chłopca z boru. Ale nie znajdę prawdziwej róży Ani prawdziwej ćmy, ni kamienia. I zawsze .tylko mała, mała ziemia. `cp2 W dalszym ciągu "Pieśni Adriana Zielińskiego", tylko inna część. `ty V `ty Tyłek dziewczyny, która przechodzi, Okrągły tyłek rzeźbiony w blasku To jest planeta biednych astronomów, Kiedy z butelką siedzą na piasku. A kiedy w obszar nieba granatowy Spojrzą, to wielka ogarnia ich trwoga I znowu nisko opuszczają głowy, Bo za wysoka dla nich ta budowa. Widzą, jak tyłek chwiejąc się oddala. Jasna planeta Wenus w teleskopie. A zieleń wiosny mruży się jak fala, Nad którą Wenus błyszczy po potopie. Warszawa, 1943-1944 Wiersz "Piosenka o końcu świata" był napisany w Warszawie w początku '44 roku. Piosenka o końcu świata W dzień końca świata Pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji, Rybak naprawia błyszcząca sieć. Skaczą w morzu wesołe delfiny, Młode wróble czepiają się rynnny I wąż ma złota skórę, jak powinien mieć. W dzień końca świata Kobiety idą polem pod parasolkami, Pijak zasypia na brzegu trawnika, Nawołują na ulicy sprzedawcy warzywa I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa, Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa I noc gwiazdzistą odmyka. A którzy czekali błyskawic i gramów, Są zawiedzeni. A którzy czekali znaków i archanielskich trąb, Nie wierzą, że staje się już. Dopóki słońce i księżyc są w górze, Dopóki trzmiel nawiedza różę, Dopóki dzieci różowe się rodzą, Nikt nie wierzy, że staje się już. Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem, Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie, Powiada przewijając pomidory; Innego końca świata nie będzie, Innego końca świata nie będzie. Wiersz "Skarga dam minionego czasu", napisany w 1944 roku, po Powstaniu i po zburzeniu Warszawy. Wiersz ma za temat koniec pewnej cywilizacji właściwie. Skarga dam minionego czasu Nasze suknie fałdziste zdarły się na drogach, Perły na dno dziejowej upadły topieli, Płatki spalonych wstążek wiatr gonił po wodach, Pierścienie z naszych palców ciemni ludzie zdjęli. Nasze fryzury strojne, w które zręczność mistrza Wplatała srebrne gwiazdy, kwiaty, rajskie pióra, Rozpadły się i w ciemność sypnęły popiołem. A gdy jutrzienka z morza wstała przezroczysta, Nago szliśmy w nowego babilonu murach Coś przypomnieć próbując ze zmarszczonym czołem. Goszyce, 1944 Wiersz "Przedmowa" z tomu "Ocalenie", który był wydany w grudniu '45, ale właściwie to powinno się nazywać "Epilog". Wiersz napisany w Krakowie na wiosnę '45 roku, po mojej bytności w Warszawie, na ruinach Warszawy. Przedmowa Ty, którego nie mogłem ocalić, Wysłuchaj mnie. Zrozum tę mowę prostą, bo wstydzę się innej. Przysięgam, nie ma we mnie czarodziejstwa słów Mówię do ciebie milcząc, jak obłok czy drzewo. To, co wzmacniało mnie, dla ciebie było śmiertelne. Żegnanie epoki brałeś za początek nowej, Natchnienie nienawiści za piękno liryczne, Siłę ślepa za dokonany kształt. Oto dolina płytkich polskich rzek. I most ogromny Idący w białą mgłę. Oto miasto złamane I wiatr skwirami mew obrzuca twój grób, Kiedy rozmawiam z tobą. Czym jest poezja, która nie ocala Narodów ani ludzi? Wspólnictwem urzędowych kłamstw,

Piosenką pijaków, którym za chwilę ktoś poderżnie gardła, Czytanką z panińskiego pokoju. To, że chciałem dobrej poezji, nie umiając, To, że późno pojąłem jej wybawczy cel, To jest i tylko to jest ocalenie. Sypano na mogiły proso albo mak Żywiąc zlatujących się umarłych - ptaki. Tę książkę kładę tutaj dla ciebie, o dawny, Abyś nas odtąd nie nawiedzał więcej. Kraków, 1945

Wiersz "Dziecię Europy" był napisany po wojnie i składa się z krótkich takich części. Jest to poemat sarkastyczny, bardzo gorzki, powiedziałbym nawet diaboliczny. Wiersz ten mniej więcej wyrażał uczucia grozy i wstrętu do wszystkiego, do całego świata, ze względu na ilość kłamstw, które się ukazały wtedy w powojennym czasie. Mój przyjaciel, nieżyjący Kot Jeleński, przetłumaczył ten wiersz na kilka języków, dając pięć wersji: polską, francuską, niemiecką, angielską i włoską. Dziecię europy `ty 4 `ty

Z małego nasienia prawdy wyprowadzaj roślinę kłamstwa, Nie naśluduj tych co kłamią, lekceważąc rzeczywistość. Niech kłamstwo logiczniejsze będzie od wydarzeń, Aby znużeni wędrownik znaleźli w nim ukojenie. Po dniu kłamstwa gromadźmy się w dobranym kole Bijąc się w uda ze śmiechu, gdy wspomni kto nasze czyny. Rozdając pochwały pod nazwą bystrości rozumowania Albo pochwały pod nazwą wielkości talentu. My ostatni, którzy z cynizmu umiemy czerpać wesele. Ostatni, których przebiegłość niedaleka jest od rozpacz. Już rodzi się pokolenie śmiertelnie poważne Biorące dosłownie, co myśmy przyjmowali śmiechem. `ty 5 `ty Niech słowa twoje znaczą nie przez to co znaczą Ale przez to wbrew komu zostały użyte. Ze słów dwuznacznych uczyni swoją broń, Słowa jasne pogrążaj w ciemność encyklopedii. Żadnych słów nie osądzaj, zanim urzędnicy Nie sprawdzą w kartotece, kto mówi te słowa. Głos namiętności lepszy jest niż głos rozumu, Gdyż beznamiętni zmieniać nie potrafią dziejów `ty 6 `ty

Nie kochaj żadnego kraju: kraje łatwo giną. Nie kochaj żadnego miasta: łatwo rozpada się w gruz. Nie przechowuj pamiątek, bo z twojej szuflady Wzbije się dym trujący dla twego oddechu. Nie miej czułości dla ludzi: ludzie łatwo giną Albo są pokrzywdzeni i wzywają twojej pomocy. Nie patrz w jeziora przeszłości: tafla ich rdzą powleczone Inną ukaże twarz niż się spodziewałeś. New York, 1946 Wiersz pod tytułem "Mittelbergheim". Jest to małe miasteczko w Alzacji, gdzie byłem w jesieni 1951 roku. Wiersz dedykowany Stanisławowi Vincenzowi, który starał się mnie przekonać, że znalezienie się na emigracji nie jest już takim wielkim dramatem, dlatego że wszędzie jest ta sama ziemia i wszędzie można podziwiać piękno ziemi, Mittelbergheim `ty

Stanisławowi Vincenzowi `ty Wino śpi w beczkach z dębu nadreńskiego. Budzi mnie dzwon kościołka między winnicami Mittelbergheim. Słyszę małe źródło Pluszczące w cembrowinę na podwórzu, stuk Drewniaków na ulicy Tytoń schnący Pod okapem i pługi i koła drewniane I zбочa gór i jesień przy mnie są. Oczy mam jeszcze zamknięte. Nie goń mnie Ogniu, potęgo, siło, bo za wcześniej. Przeżyłem wiele lat i jak w tym śnie Czułem że sięgam ruchomej granicy Za którą spełnia się barwa i dźwięk I połączone są rzeczy tej ziemi. Ust mi przemocą jeszcze nie otwieraj, Pozwól mi ufać, wierzyć że dosięgnę, Daj mi przystanąć w Mittelbergheim. Ja wiem, że powinienem. Przy mnie są Jesień i koła drewniane i liście Tytoniu pod okapem. Tu i wszędzie Jest moja ziemia, gdziekolwiek się zwrócę I w jakimkolwiek usłyszę języku Piosenkę dziecka, rozmowę kochanków. Bardziej od innych szczęśliwy, mam wziąć Spojrzenie, uśmiech, gwiazdę, jedwab zgięty Na linii kolan. Pogodny, patrzący, Mam iść górami, w miękkiem blasku dnia Nad wody, miasta, drogi, obyczaje. Ogniu, potęgo, siło, ty co mnie Trzymasz we wnętrzu dłoni której bruzdy Są jak wawoży olbrzymie, czesane Wiatrem południa. Ty co dajesz pewność W godzinie lęku, tygodniu zwątpienia, Za wcześniej jeszcze, niech wino dojrzewa, Niechaj podróżni śpią w Mittelbergheim. Mittelbergheim, Alzacja, 1951 Wiersz "Koncert", napisany w Waszyngtonie po bytności tam na koncercie, dokładnie 50 lat temu, w 1948 roku. Koncert Kto są te karły z twarzą leśnej kory Wydobyte z jaskiń pod korzeniem drzewa, Wsparte o brzeg nogą pasikoników Przechylone rzędami, kiedy ręka lewa Unosi pudłem targający poryw, Prawa pracuje w armii lśniących smyków? Z szeptu

myszy w suchych liściach starej zimy, Z dziupli niedosięgalnych, rodzinnego pisku, Zbiegli się i wykonują rzecz co nie istnieje W muszlach nieba ani w grotach morza. Dźwiękiem gnane otwierają się równiny I śpiewaczki głos to źródło co jaśnieje Kiedy w trawie niską iskrą idzie pożar. Długie nogi jej zakryte suknią gęstą Złoty sandał drobnym palcem przyciskają do estrady. Z wnętrza ciepłych ust kulisty głos W metalową klawiaturę się przemienia. Marmurowe defilują przed jej wzrokiem kolumnady, Aż jej ręce dreszcz rozluźnia i zwycięstwo: Ptactwo braw, zatoki uciszenia. Z żółtej gliny pod ciemnością fundamentów Kości w strojach z późnych dni Cesarstwa Przez szkło podłóg oglądają widowisko: Widzą karłów rozkraczonych z pudłem w ręku, Kontrabasy, złote stopy i śpiewaczkę To jest linię nóg soczystą. Washington D.C., 1948

Wiersz pod tytułem "Mistrz", napisany we Francji w Montgeron, gdzie mieszkałem, w 1959 roku; to było na krótko przed moim wyjazdem do Ameryki. Mistrz Mówią, że moja muzyka jest anielska. Ze kiedy słucha jej Księżę Jego twarz, zakryta, łagodnieje. Z żebrakiem wtedy dzieliliby się władzą. Wachlarz damy dworu jest nieruchomy, Dotyk atlasu nie przywodzi myśli nieskromnych a miłych I obce, jak w przepaści, ziębną pod fałdą kolana. Każdy słyszał w katedrze moja Missa Solemnis. Ja gardła dziewcząt z chóru Świętej Cecylii Przemieniłem w instrument który nas wywyższa Ponad to czym jesteśmy Umiem odjąć pamięć Długiego życia mężom i kobietom, Aż w dymach nawy stoją przywrócenie Rankom dzieciństwa kiedy kropla rosy I krzyk z gór były prawdą świata. Wsparty na lasce o zachodzie słońca Podobny mogę być ogrodnikowi Który wyhodował duże drzewo. Nie trwoniłem lat kruchej młodzieńczej nadziei. Mierzę co dokonane. Tam w górze jaskółka Minie, i wróci nowa swoim skośnym lotem. U studni zabrzmią kroki, ale innych ludzi. Pługi zaorzą las. Tylko flet i skrzypce Będą pracować jak im nakazałem. Nikt nie wie jak płaciłem. Śmieszni. Oni myślą, że dostaje się darmo. Przebija nas promień. Chcą promienia, bo to im pomaga w podziwie. Albo wierzą w baśń gminną. Raz w cieniu pod olchą Objawił się nam demon, czarny jak sadzawka, Dwie krople krwi utoczył ukłuciem komara I odcisnął na wosku pierścień z ametystu. Grają niezmiennie sfery niebios i planety Ale chwila pamięci jest niepokonana. W środku nocy powraca. Kto trzyma pochodnie, że co było tak dawno dzieje się w jasności? Żal, już daremny, o każdej godzinie Długiego życia. Jakie piękne dzieło Zdoła okupić uderzenia serca Żywej istoty i komu wystarczy Uczynki wyznać, które trwają wiecznie? Kiedy stare i siwe pod szalem z koronką Palce nurzają w wodzie kropielnicy Zdaje mi się, że mogłaby być jedną z nich. Te same jodły Szumią, i płytka falą mieni się jezioro. Kochałem jednak moje przeznaczenie. I gdybym cofnął czas czy wybrałbym uczciwość Nie potrafię odgadnąć. Linia losu nie wie. Czy Bóg chce, żebyśmy gubili duszę, Bo tak ma tylko dar nieskazitelny? Mowa aniołów! Nim wspomnisz o Łasce Bacz, abys innych i siebie nie zwodził. Co z mego zła powstało, to tylko prawdziwe. Montgeron, 1959

Wiersz pod tytułem "Jakże znosiłeś", napisany w Berkeley, w Kalifornii, w 1964 roku. Zdawało się, że trudno o wiersz mniej związany z Ameryką. Ten wiersz dotyczy polskiej równiny. Jakże znosiłeś Jakże znosiłeś, Jezu, te wszystkie feretrony, Jedwabie skąd ratunku płacząc wyglądają, Blachy srebrne i złote którym ognie palą, Marmur, ich kolanami z wieku na wiek drażony? I anioły rozdęte, w drzazgach kamiennych szat Na wieżach nad czesaną bronami równiną, Gdzie ho i ho na konia, a tak zaraz giną I koń i ten, co na nim co dzień szleję kładł? Czym były tobie, Jezu, podjęte z urny lędźwie Na słomie wąskich łózek nad błotem klepiska, W ten czas kiedy za szybką mroźną gwiazda błyska I w jedno są złączone sen twardy i poczęcie? Jaka studnia kwilenia, gałganów i piszczeli! Jaka wieża ciśniętych w powietrze lamentów! I kto z klamorem dzwonek, słońcem sakramentów Między nimi i tobą przechadzać się ośmieli? Berkeley, 1964

Wiersz pod tytułem "Biel", napisany w Paryżu w 1966 roku. Było to dla mnie zawsze miasto raczej symboliczne pod wielu względami. To jest wiersz raczej o mieście niż o jakimś własnym przeżyciu. Biel O białe, białe, białe. Białe miasto którym niosą chleb i warzywa kobiety urodzone pod znakami

wracających moich zodiaków Paszcze w zielonym słońcu bluzgają wodą jak w dni dalekich zaślubin, marszów o chłodzie aurory z krańca na kraniec. Klamry od szkolnych pasków gdziekolwiek w gęstej ziemi, sznurem ożyn przepasane bunkry i sarkofagi. Objawienia dotyku od początku, nie przyjęta żadna wiedza i żadna pamięć. Chwiejny przechodzień, idę przez targ uliczny po utracie mowy. Świeczniki w namiotach zdobywców zalał wosk, opuścił mnie gniew i na języku mam cierpkość zimowej renety. Dwie Cyganki wstające z popiołu biją w bębenek i tańczą dla nieśmiertelnych ludzi. Echa, gołębie w zamieszkanym albo pustym, nikt nie troszczy się, niebie. Wielki mój lament, bo myślałem że może trwać rozpacz i że może trwać miłość. W białym mieście które nie żąda, nie zna, nie nazywa, a było i będzie. Paryż, 1966 Pierwszy raz przyjechałem do Paryża mając lat dwadzieścia, a później przez rok byłem stypendystą, studiowałem tam. Napisałem ten wiersz o wiele, wiele później, powróciwszy do Paryża. Wiersz nosi datę 1980. To, co tutaj jest w wierszu, jest o tyle prawdziwe, że mieszkałem niedaleko rue Descartes, a wiersz się nazywa "Rue Descartes". Rue Descartes Mijając ulicę Descartes Schodziłem ku Sekwanie, młody barbarzyńca w podróży Onieśmielony przybyciem do stolicy świata. Było nas wielu, z Jass i Koloszwaru, Wilna i Bukaresztu, Sajgonu i Marakesz, Wstydliwie pamiętających domowe zwyczaje O których nie należało mówić tu nikomu: Kłaśnięcie na służbę, nadbiegają dziewczki bosc, Dzielenie pokarmów z inkantacjami, Chóralne modły odprawiane przez panów i czeladź. Zostawiłem za sobą pochmurne powiaty. Wkraczałem w uniwersalne, podziwiając, pragnąc. Następnie wielu z Jass i Koloszwaru, albo Sajgonu albo Marakesz Było zabijanych ponieważ chcieli obalić domowe zwyczaje. Następnie ich koledzy zdobywali władzę Żeby zabijać w imię pięknych idei uniwersalnych. Tymczasem zgodnie ze swoją naturą zachowywało się miasto, Gardłowym śmiechem odzywając się w ciemności, Wypiekając długie chleby i w gliniane dzbanki nalewając wino, Ryby, cytryny i czosnek kupując na targach, Obojętne na honor i hańbę i wielkość i chwałę, Ponieważ to wszystko już było i zmieniło się W pomniki przedstawiające nie wiadomo kogo, W ledwo słyszalne arie albo zwroty mowy Znowu opieram łokcie o szorstki granit nabrzeża, Jakbym wrócił z wędrówki po krajach podziemnych I nagle zobaczył w świetle kręcące się koło sezonów Tam gdzie upadły imperia, a ci co żyli, umarli. I nie ma już tu i nigdzie stolicy świata. I wszystkim obalonym zwyczajom wrócono ich dobre imię. I już wiem, że czas ludzkich pokoleń niepodobny do czasu Ziemi. A z ciężkich moich grzechów jeden najlepiej pamiętam: Jak przechodząc raz leśną ścieżką nad potokiem Zrzuciłem duży kamień na wodnego węża zwiniętego w trawie. I co mnie w życiu spotkało było słuszną karą, Która prędzej czy później łamiącego zakaz dosięgnie. 1980

Wychowałem się na Litwie. Tam wąż wodny był istotą świętą, nie wolno było go dotknąć. Wąż wodny był łączony ze słońcem i było to tabu, nie wolno było skrzywdzić węża wodnego, A tutaj opisuję zrobienie krzywdy wężowi wodnemu. Następny wiersz to jest krótki wiersz prozą. Został napisany, kiedy mieszkałem pod Paryżem i często jeździłem metrem paryskim. Jest to krótki wiersz miłosny. Akcja dzieje się w metrze paryskim. Esse Przyglądałem się tej twarzy w osłupieniu. Przebiegały światła stacji metra, nie zauważałem ich. Co można zrobić, jeżeli wzrok nie ma siły absolutnej, tak, żeby wciągał przedmioty z zachłyśnięciem się szybkości, zostawiając za sobą już tylko pustkę formy idealnej, znak, niby hieroglif, który uproszczono z rysunku zwierzęcia czy ptaka? Lekko zadarty nos, wysokie czoło z gładko zaczesanymi włosami, linia podbródka - ale dlaczego wzrok nie ma siły absolutnej? - i w różowawej bieli wycięte otwory, w których ciemna błyszcząca lava. Wchłonać tę twarz, ale równocześnie mieć ją na tle wszystkich gałęzi wiosennych, murów, fal, w płaczu, w śmiechu, w cofnięciu jej o piętnaście lat, w posunięciu naprzód o trzydzieści lat. Mieć. To nawet nie pożądanie. Jak motyl, ryba, łądyga rośliny, tylko rzecz bardziej tajemnicza. Na to mi przyszło, że po tylu próbach nazywania świata umiem już tylko powtarzać w kółko najwyższe, jedyne wyznaczenie, poza które żadna moc nie może sięgnąć: ja jestem - ona jest. Krzyczcie, dmijcie w trąby,

utwórzcie tysięczne pochody, skaczcie, rozdzierajcie sobie ubrania, powtarzając to jedno: jest! I po co zapisano stronice, tony, katedry stronic, jeżeli bełkoce jakbym był pierwszym, który wyłonił się z ładu na brzegach oceanu? Na co zdały się cywilizacje Słońca, czerwony pył rozpadających się miast, broje i motory w pyłe pustyni, jeżeli nie dodały nic do tego dźwięku: jest? Wysiadła na Raspail. Zostałem z ogromem rzeczy istniejących. Gąbka która cierpi bo nie może napełnić się wodą, rzeka która cierpi bo odbicia obłoków i drzew nie są obłokami i drzewami. Brie-Comte-Robert, 1954 Ten wiersz czytam na wszystkich moich wieczorach autorskich, zarówno po polsku, jak po angielsku w Ameryce, czyli czytam ten wiersz w przekładzie na angielski, Następny wiersz jest w pewnym sensie na chwałę rzeki Wilii, na której spędziłem sporo czasu jako bardzo młody człowiek. Wiersz nazywa się "Rzeki". Rzeki Pod rozmaitymi imionami was tylko słałem, rzeki! Wy jesteście i miód i miłość i śmierć i taniec. Od źródła w tajemnych grotach bijącego spośród omszałych kamieni, Gdzie bogini ze swoich dzbanów nalewa wodę żywą, Od jasnych źródeł na murawach, pod którymi szemrzą poniki, Zaczyna się wasz bieg i mój bieg, i zachwyty i przemijanie. Na słońce wystawiałem twarz, nagi, sterujący z rzadka zanurzeniem wiosła, I mknęły dębowe lasy, łąki, sosnowy bór, Za każdym zakrętem otwierała się przede mną ziemia obietnicy, Dymy wiosek, senne stada, loty jaskółek-brzegówek, piaskowe obrywy. Powoli, krok za krokiem, wstępowałem w wasze wody I nurt mnie podejmował milcząco za kolana, Aż powierzyłem się, i uniósł mnie, i płynąłem Przez wielkie odbite niebo triumfalnego południa. I byłem na waszych brzegach o zaczęciu letniej nocy, Kiedy wytacza się pełnia i łączą się usta w obrzędzie. I szum wasz koło przystani, jak wtedy w sobie słyszę Na przywołanie, objęcie, i na ukojenie. Z biciem we wszystkie dzwony zatopionych miast odchodzimy. Zapomnianych witają poselstwa dawnych pokoleń. A pęd wasz nieustający zabiera dalej i dalej. I ani jest ani było. Tylko trwa wieczna chwila. 1980 Mieszkałem bardzo długo w Kalifornii z widokiem na Pacyfik, czyli mieszkałem na najdalszym krańcu Zachodu, czyli zachodniej cywilizacji. I wiersz, który przeczytałem, nawiązuje do sielanki poety polskiego z XVII wieku. Nazywa się "Kresy". Kresy "Wolno, owieczki moje, wolno postępujcie" W zatokach, wielu, ciemniejszego czasu. Lwy morskie z berłami na skalnych tronach. Daleko, daleko, rzuć za siebie grzebień, wyrośnie las, Rzuć za siebie lustro, dojrzeje ocean. Obalona jest nareszcie dobra sława. Żadnych lat, żadnych zegarów, żadnej pamięci o tym jak na klęczkach płukaliśmy złoto. Siodła chrzęściły i rozpadły się posągi w trawie żubrowej. Aż było co ma być. Tylko ziemia i morze. Sól, żółte góry, dąb karłowaty i piana. Albatrosom szeptałoby swoje zasługi? My wiemy lepiej. Nie zaświadcza nic. "Wolno, owieczki moje, wolno postępujcie". Berkeley, 1962 Następny wiersz napisany w Montgeron pod Paryżem w '57 roku. To jest pewnego rodzaju wspomnienie mojego rodzinnego domu, gdzie się urodziłem właśnie, w powiecie kiejańskim. Nauki Od tamtej chwili, kiedy w domu o niskich okapach Doktor z miasteczka przeciął pępowinę A pleniły się w sadach szczawie i lebiody, Gniazda dla kropkowanych białą pleśnią gruszek, Byłem już w rękach ludzi. Mogli przecie zdławić Mój krzyk pierwszy, nacisnąć swoją wielką dłońią Gardło bezbronne, budzące ich czułość. Od nich przejąłem nazwy ptaków i owoców, W ich kraju zamieszkałem, nie zanadto dzikim, Nie zanadto uprawnym, z łąką, ornym polem I wodą na dnie czółna w gąszczu za stolarnią. Ich nauki znalazły co prawda granicę We mnie samym, a wola moja była ciemna, Mało posłuszna moim albo ich zamiarom. Inni, których nie znałem, czy tylko z imienia, Stąpali we mnie i ja, przerażony, Słyszałem w sobie skrzypiące pokoje Dokąd się nie zagląda przez dziurkę od klucza. Nic nie znaczyli dla mnie Kazimierz ni Hrehory Ani Emilia ani Margareta. Ale każdą ich skazę i każde kalectwo Musiałem sam powtórzyć. To mnie poniżało. Ze gotów byłbym krzyknąć: Wy, odpowiedzialni, Przez was nie mogę zostać kim chcę, tylko sobą. Słońce padało w książce na grzech pierworodny I nieraz, kiedy huczy w trawach popołudnie, Wyobrażałem sobie dwoje, z moją winą, Jak depczą osę pod

rajską jabłonią. Montgeron, 1957 Wiersz "Notatnik: Bon nad Lemanem" był rzeczywiście napisany w miasteczku Bon, niedaleko Lemanu, jeziora Lemańskiego, po stronie francuskiej, w roku '53. Notatnik: Bon nad Lemanem Buki czerwone, topole świecące I strome świerki za mgłą października. W dolinie dymi jezioro. Już śnieg Leży na grzbietach gór po drugiej stronie. Z życia zostaje co? Jedynie światło Przed którym oczy mrużą się w słoneczny Czas takiej pory. Mówi się: to jest I umiejętność żadna ani dar Sięgnąć nie mogą poza to, co jest A niepotrzebna pamięć traci siłę. Jabłecznik pachnie z beczek. Proboszcz miesza Wapno łopata przed budynkiem szkoły Mój syn tam biegnie ścieżką. Chłopcy niosą Worki zebranych na zboczach kasztanów Jeśli zapomnę ciebie, Jeruzalem, Niech, mówi prorok, uschnie mi prawica. Podziemne drzenie wstrząsa tym, co jest. Pękają góry i łamają się lasy. Przez to, co było i przez to, co będzie Dotknięte, pada w popiół to, co jest. Czysty, gwałtowny, wre na nowo świat I nie ustaje pamięć ni dążenie. Jesienne nieba, w dzieciństwie te same W wieku dojrzałym i w starości, wam Nie będę się przyglądać. Krajobrazy Łagodnym ciepłem serce nam karmiące, jakaż trucizna w was, że nieme usta, Ręce splecione na piersi i wzrok Jak sennych zwierząt. A kto w tym, co jest Znajduje spokój, ład i moment wieczny Mija bez śladu. Godzisz się co jest Niszczyć i z ruchu podjąć moment wieczny Jak blask na wodach czarnej rzeki? Tak. Bon, 1953 "Nie więcej" - wiersz napisany we Francji, w Montgeron w '57 roku. Nie więcej Powinienem powiedzieć kiedyś jak zmieniłem Opinię o poezji i jak to się stało, że uważam się dzisiaj za jednego z wielu Kupców i rzemieślników Cesarstwa Japonii Układających wiersze o kwitnieniu wiśni, O chryzantemach i pełni księżyca. Gdybym ja mógł weneckie kurtyzany Opisać, jak w podwórzu witką drażnią pawia I z tkaniny jedwabnej, z perłowej przepaski Wyłuskać ociążałe piersi, czerwona Pręgę na brzuchu od zapięcia sukni, Tak przynajmniej jak widział szyper galeonów Przybyłych tego ranka z ładunkami złota; I gdybym równocześnie mógł ich biedne kości Na cmentarzu, gdzie bramę liże tłuste morze, Zamknąć w słowie mocniejszym niż ostatni grzebień Który w próchni pod płytą, sam, czeka na światło, Tobym nie zwątpił. Z odpornej materii Co da się zebrać? Nic, najwyżej piękno. A wtedy nam wystarczyć musza kwiaty wiśni I chryzantemy i pełnia księżyca. Montgeron, 1957 Wiersz "Godzina". To jest Berkeley 1972. Godzina Żarzące słońce na liściach, gorliwe buczenie trzmieli, Gdzieś z daleka, zza rzeki, senne gaworzenie I nieśpieszne stukanie młotka nie mnie jednego cieszyły. Zanim otwarto pięć zmysłów, i wcześniej niżeli początek Czekwały, gotowe, na wszystkich którzy siebie nazwą: śmiertelni, Żeby jak ja wysławiali życie to jest szczęście. Berkeley, 1972 Wiersz o Paryżu, napisany podczas jednej z moich wizyt w tym mieście, wtedy kiedy byłem już profesorem w Berkeley w Kalifornii, data 1963. I świeciło to miasto I świeciło to miasto którym po latach wracałem I przepadało życie, Ruteboeufa albo Villona. Potomni już narodzeni, tańczyli swoje tańce. Kobiety patrzyły w lusterka z nowego metalu. Po co było to wszystko, jeżeli mówić nie mogę. Stała nade mną ciężka, jak ziemia na swojej osi. Leżał mój popiół w puszce pod ładą baru. I świeciło to miasto którym po latach wracałem Do mego domu w gablotce granitowego muzeum Koło czernidła do rżęs, alabastrowych słoików, Menstruacyjnych przepasek egipskiej księżniczki. Było tam tylko słońce wykute ze złotej blachy, Na ciemniejących parkietach powolnych kroków skrzypienie. I świeciło to miasto którym po latach wracałem Z twarzą zakrytą paltem, chociaż już dawno nikt nie żył Z tych którzy mogli pamiętać nie zapłacone długi, Hańby niewiekuiste, podłostki do przebaczenia. I świeciło to miasto którym po latach wracałem. Paryż-Berkeley, 1963 Wiersz "Moja wierna mowa" był napisany w Berkeley w Kalifornii w 1968 roku. Ta data jest bardzo ważna, bo treść wiersza odnosi się do wydarzeń tamtego roku, które są historykom znane. Moja wierna mowa Moja wierna mowa, służyłem tobie. Co noc stawiałem przed tobą miseczki z kolorami, żebyś miała i brzozę i konika polnego i gila zachowanych w mojej pamięci. Trwało to dużo lat. Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej. Myślałem że będziesz także pośredniczką pomiędzy mną i dobrymi

ludźmi, choćby ich było dwudziestu, dziesięciu, albo nie urodzili się jeszcze. Teraz przyznaję się do zwątpienia. Są chwile kiedy wydaje się, że zmarnowałem życie. Bo ty jesteś mową upodlonych, mową nierozumnych i nienawidzących siebie bardziej może niż innych narodów, mową konfidentów, mową pomieszanych, chorych na własną niewinność. Ale bez ciebie kim jestem. Tylko szkolarzem gdzieś w odległym kraju, a success, bez lęku i poniżeń. No tak, kim jestem bez ciebie. Filozofem takim jak każdy. Rozumiem, to ma być moje wychowanie: gloria indywidualności odjęta, Grzesznikowi z moralitetu czerwony dywan podściela Wielki Chwał, a w tym samym czasie latarnia magiczna rzuca na płótno obrazy ludzkiej i boskiej udręki. Moja wierna mowo, Może to jednak ja muszę ciebie ratować. Więc będę dalej stawiać przed tobą miseczki z kolorami Jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe, Bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy piękno. Berkeley, 1968 "Ars poetica?", ze znakiem zapytania, może wyrażającym pewni moją wątpliwość, czy mam prawo pisać ars poetica jak Horacy. Data 1968, napisane w Berkeley, Kalifornia. Ars poetica? Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej, która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą i pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo, autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu. W samej istocie poezji jest coś nieprzystojnego: powstaje z nas rzecz, o której nie wiedzieliśmy, że w nas jest, więc mrugamy oczami, jakby wyskoczył z nas tygrys i stał w świetle, ogonem bijąc się po bokach. Dlatego słusznie się mówi, że dyktuje poezję dajmonion, choć przesadza się utrzymując, że jest na pewno aniołem. Trudno pojąć skąd się bierze ta duma poetów jeżeli wstyd im nieraz, że widać ich słabość. Jaki rozumny człowiek zechce być państwem demonów, które rządzą się w nim jak u siebie, przemawiają mnóstwem języków, a jakby nie dosyć im było skraść jego usta i rękę, próbują dla swojej wygody zmieniać jego los? Ponieważ co chorobliwe jest dzisiaj cenione, ktoś może myśleć, że tylko żartuję albo że wynalazłem jeszcze jeden sposób żeby wychwalać Sztukę z pomocą ironii. Był czas, kiedy czytano tylko mądre książki pomagające znosić ból oraz nieszczęście. To jednak nie to samo co zaglądać w tysiąc dzieł pochodzących prosto z psychiatrycznej kliniki. A przecie świat jest inny niż się nam wydaje i my jesteśmy inni niż w naszym bredzeniu. Ludzie więc zachowują milczącą uczciwość, tak zyskując szacunek krewnych i sąsiadów Ten pożytek z poezji, że nam przypomina jak trudno jest pozostać tą samą osobą, bo dom nasz jest otwarty, we drzwiach nie ma klucza a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą. Co tutaj opowiadam, poezją, zgoda, nie jest. Bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie, pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją, że dobre, nie złe duchy, mają w nas instrument. Berkeley, 1968 Wiersz "Zadanie", napisany w Berkeley w Kalifornii, 1970. Zadanie W trwodze i drzeniu myślę, że spełniłbym swoje życie Tylko gdybym się zdobył na publiczną spowiedź Wyjawiając oszustwo, własne i mojej epoki: Wolno nam było odzywać się skrzekiem karłów i demonów Ale czyste i dostojne słowa były zakazane Pod tak surową karą, że kto jedno z nich śmiał wymówić Już sam uważał się za zgubionego. Berkeley, 1970 "Economia divina", wiersz napisany w Berkeley w 1973 roku. Economia Divina Nie myślałem, że żyć będę w tak osobliwej chwili. Kiedy Bóg skalnych wyżyn i gromów, Pan Zastępów, kyrios Sabaoth, Najdotkliwiej upokorzy ludzi, Pozwoliwszy im działać jak tylko zapagną, Im zostawiając wnioski i nie mówiąc nic. Było to widowisko niepodobne, zaiste, Do wiekowego cyklu królewskich tragedii. Drogom na betonowych słupach, miastom ze szkła i żeliwa, Lotniskom rozleglejszym niż plemienne państwa Nagle zabrakło zasady i rozpadły się. Nie we śnie ale na jawie, bo sobie odjęte Trwały jak trwa to tylko, co trwać nie powinno. Z drzew, polnych kamieni, nawet cytryn na stole Uciekła materialność i widmo ich Okazywało się pustką, dymem na kliszy Wydziedziczona z przedmiotów mrowiła się przestrzeń. Wszędzie było nigdzie i nigdzie, wszędzie. Litery ksiąg srebrniały, chwiały się i nikły. Ręka nie mogła nakreślić znaku palmy, znaku rzeki, ni znaku ibisa. Wrzawą wielu języków ogłoszono śmiertelność mowy. Zabroniona była skarga, bo skarżyła się samej sobie. Ludzie, dotknięci niezrozumiałą udręką,

Zrzucali suknie na placach, żeby sądu wzywała ich nagość. Ale na próżno tęsknili do grozy, litości i gniewu, Za mało uzasadnione Były praca i odpoczynek I twarz i włosy i biodra I jakiegokolwiek istnienie. Berkeley, 1973 "Tak mało", wiersz napisany w Berkeley w 1969 roku. Tak mało Tak mało powiedziałem. Krótkie dni. Krótkie dni, Krótkie noce, Krótkie lata. Tak mało powiedziałem, Nie zdażyłem. Serce moje zmęczyło się Zachwytem, Rozpaczą, Gorliwością, Nadzieją. Paszcza lewiatana Zamykała się na mnie. Nagi leżałem na brzegach Bezludnych wysp. Porwał mnie w otchłań ze sobą Biały wieloryb świata. I teraz nie wiem Co było prawdziwe. Berkeley, 1969 "Dar", wiersz napisany w Berkeley w 1971. Z pozoru jest to wiersz najzupełniej pogodny, pogodzenia się z życiem, jakiegoś oderwania od wszelkich trosk. Ale jak zauważyli niektórzy krytycy amerykańscy, tu jest całe zło XX wieku, tylko nie powiedziane, jakby ukryte za liniami. Dar Dzień taki szczęśliwy Mgła opadła wcześniej, pracowałem w ogrodzie. Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium. Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć. Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć. Co przydarzyło się złego, zapomniałem. Nie wstydziałem się myśleć, że byłem kim jestem. Nie czułem w ciele żadnego bólu. Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle. Berkeley, 1971 "O aniołach", wiersz pisany w Berkeley w 1969 roku. O aniołach Odjęto wam szaty białe, Skrzydła i nawet istnienie, Ja jednak wierzę wam, Wysłańcy Tam gdzie na lewą stronę odwrócony świat, Ciężka tkanina haftowana w gwiazdy i zwierzęta, Spacerujecie oglądając prawdomówne ściegi. Krótki wasz postój tutaj, Chyba o czasie jutrzennym, jeżeli niebo jest czyste, W melodii powtarzanej przez ptaka, Albo w zapachu jabłek pod wieczór Kiedy światło zaczaruje sady. Mówią, że ktoś was wymyślił Ale nie przekonuje mnie to. Bo ludzie wymyślili także samych siebie. Głos - ten jest chyba dowodem, Bo przynależy do istot niewątpliwie jasnych, Lekkich, skrzydlatych (dlaczegóż by nie), Przepasanych błyskawicą. Słyszałem ten głos nieraz we śnie I, co dziwniejsze, rozumiałem mniej więcej Nakaz albo wezwanie w nadziemskim języku: zaraz dzień jeszcze jeden zrób co możesz. Berkeley, 1969 Wiersz pod tytułem "Czarodziejska góra", napisany w Berkeley w 1975 roku, który mówi o zaakceptowaniu przegranej. Czytelnik czy słuchacz może się dziwić, dlaczego ja mówię o przegranej. Moim zdaniem przegrana jest częścią zawodu, że tak powiem, poety, ponieważ nigdy wygrać nie można. Czarodziejska góra Nie pamiętam dokładnie kiedy umarł Budberg, albo dwa albo trzy lata temu. Ani kiedy Chen. Rok temu czy dawniej. Wkrótce po naszym przyjeździe, Budberg, melancholijnie łagodny, Powiedział, że z początku trudno się przyzwyczaić Bo nie ma tutaj ni wiosny i lata, ni jesieni i zimy. "- Śnił mi się ciągle śnieg i brzozowe lasy. Gdzie prawie nie ma pór roku, ani spostrzec jak upływa czas. To jest, zobaczy Pan, czarodziejska góra". Budberg: w dzieciństwie domowe nazwisko. Dużo znaczyła w kiejdańskim powiecie Ta rosyjska rodzina, z bałtyckich Niemców. Nie czytałem żadnej z jego prac, zanadto specjalne. A Chen był podobno znakomitym poetą. Muszę to przyjąć na wiarę, bo pisał tylko po chińsku. Upalny październik, chłodny lipiec, w lutym kwitną drzewa. Godowe loty kolibrów nie zwiastują wiosny Tylko wierny klon zrzucił co roku liście bez potrzeby Bo tak nauczyli się jego przodkowie. Czułem, że Budberg ma rację i buntowałem się. Więc nie dostanę potęgi, nie uratuję świata? I słowa mnie ominie, ni tiary ani korony? Czyż na to ćwiczylem siebie, Jedynego, Żeby układać strofy dla mew i mgieł od morza, Słuchać, jak bucza tam nisko okrętowe syreny? Aż minęło. Co minęło? Życie. Teraz nie wstydzę się mojej przegranej. Jedna pochmurna wyspa ze szczekaniem fok Albo sprazona pustynia, i tego nam dosyć Żeby powiedzieć yes, tak, si, "Nawet śpiąc pracujemy nad stawaniem się świata" Tylko z wytrwałości bierze się wytrwałość. Gestami stwarzałem niewidzialny sznur. I wspinałem się po nim i trzymał mnie. Jaka procesja! Quelles delices! Jakie birety i z wyłogami togi! Mnogouważajemyj Professor Budberg, Most Distinguished Professor Chen, Ciemno Wielmożny Profesor Milosz Który pisywał wiersze w bliżej nie znanym języku. Kto ich tam zresztą policzy.

A tu słońce. Tak że bieleje płomień ich wysokich świec I ileż pokoleń kolibrów im towarzyszy Kiedy tak posuwają się. Po czarodziejskiej górze. I zimna mgła od morza znaczy że znów lipiec. 1975 "Filina", wiersz napisany w Berkeley w 1976 roku. Filina Widmowe laboratorium na górach dymiło.

Mgła po stopniach jasności w błękit wstępowała. Jadąc długą ulicą o tobie myślałem, Filino. Która ukazujesz się z dobrodziejstwem szumiących spódnic, Ze śmieszna twoja piosenka: Mam trzewiczki z mysiej piczki Takie same rękawiczki I przed lustrem spacerujesz tum ta tum Zanim zbiegniesz Na dół do powozu. Rączy konie nas niosą topolową drogą. Rybacy nad rzekami zasiedli na święto. Białe obrus rozściełamy pod jabłonią w gaju. W srebrny kubek nalewamy ciemne wino. - Ale gdzie jest taka śliczna okolica? - W dawnych księstwach za morzem, Filino. A nawet gdyby twoje wstażki były tanie I twoja bielizna nie zanadto czysta, Ten dzień i bieg obłoków na zawsze zostanie, Żeby ziemia nam pomogła, rzeczywista. Ty jesteś powierzona wiecznej opiece, Która ślad motyla w powietrzu chroni I ziemię na nowo stwarza tak jak zechce, Tam gdzie nie ma bólu, ani ironii. Filina, spódnice szumiące, Lustra przepadające. Tum ta tum. 1976 Wiersz pod tytułem "Dowód" - data napisania 1975, w Berkeley.

Dowód A jednak zaznałeś piekielnych płomieni. Mógłbyś nawet powiedzieć jakie są: prawdziwe, Zakończony ostrymi hakami, żeby darły mięso Po kawałku, do kości. I szedłeś ulicą I odbywała się kaźń, broczenie, smaganie. Pamiętasz, więc nie wątpisz. Na pewno jest Piekło. 1975 Wiersz napisany w 1975 roku w Berkeley. Podziw O, jaka zorza w oknach. I działa biją. Nilem zielonym płynie koszykowa łódka Mojżesza. Nieruchomo stojąc w powietrzu nad kwiatami lecimy. Śliczne goździki, piękne tulipany na niskich stołach. Słychać i rogi myśliwskie, ogłaszają Halla-li. Nieprzebrane, niepoliczony substancje ziemi. Zapach cząbrku, kolor jodły, szron, tańce żurawi. A wszystko równoczesne. I chyba wieczne. Oko nie widziało, ucho nie słyszało, a to było. Struny nie wygają, język nie wypowie, a to będzie. Lody malinowe, topniejemy w niebie. 1975

"Gwiazda Piołun" jest to fragment poematu "Osobny zeszyt", pisanego w Berkeley w końcu lat siedemdziesiątych. Gwiazda piołun Pod Gwiazdą Piołun gorzkie toczyły się rzeki. Człowiek na polu zbierał gorzki chleb. Nie świecił nad nim w górze znak boskiej opieki I hołdu swoich wiernych domagał się wiek. Od dinozaura swój ród wywodzili. Zręczność lemurów z grot skalnych przynieśli. I nad miastami lot pterodaktyli Ogłaszał prawo dla myślącej pleśni. Związali drutem człowiekowi ręce I wyśmianego kładli w płytkie groby, Żeby nie wzywał prawdy w testamencie I już na zawsze był anonimowy Imperium planetarne było blisko. Władza nad mową została im dana. I nie ostygło jeszcze popielisko Kiedy stał znowu Rzym Dioklecjana. 1979 W muzeum Prado w Madrycie jest "Ogród Ziemskich Rozkoszy". To jest tytuł obrazu, tryptyku właściwie, Hieronima Boscha. Napisałem o tym krótki poemat pod tym samym tytułem, "Ogród Ziemskich Rozkoszy", i fragment "Ziemia" teraz przeczytam. Co prawda nie wiadomo, czy Hieronim Bosch aprobował ten zmysłowy obraz ziemi, czy też malował, żeby ostrzec i potępić. Ogród Ziemskich Rozkoszy `ty 4.

Ziemia `ty Konno na ptakach, czując pod udami miękkie pióra, Na szczygłach, wilgach, zimorodkach, To znów przynaglając do biegu lwy, jednorożce, leopardy, Których sierść ociera się o naszą nagość, Okrażamy wszechobecne życiodajne wody, Lustra, z których wynurzają się głowy męska i kobieca, Albo ramię, albo pierś okrągła syren. Co dzień tutaj dzień jagodobrania. W poziomki większe od człowieka wgrzamy się we dwoje, Zanurzamy się w czereśni, ociekamy winnym sokiem, Świętujemy kolor karminu Albo złotej czerwieni, jak cacek na choinkę. Dużo nas w tych ogrodach, całe rojowisko, I tak podobnych do siebie, że kochania się nasze Słodkie i nieprzystojne, jak przy zabawie w chowane. I zamykamy się w koronie kwiatów Albo w tęczujących kulach przezroczywych. A tymczasem niebo napełnia się mnóstwem księżycowych znaków I przygotowują się alchemiczne zaślubiny planet. Wiersz z tomu "Nieobjęta ziemia", który nosi datę 1984. "Stół I", bo są dwa wiersze; "Stół I", "Stół II". Stół I Tylko ten stół jest pewny Ciężki. Z masywnego drzewa. Przy którym uczujemy jak

inni przed nami Zgadując pod werniksem dotyki ich palców Wszystko inne wątpliwe. Także my, zjawieni Na chwilę pod postacią mężczyzn albo kobiet (Dlaczego albo-albo?) w strojach nam sądzonych. Wpatruję się w nią jakbym widział jej twarz po raz pierwszy I w niego. I w nią. Żebym ich pamiętał W jakiej nieziemskiej strefie czy krainie? Przygotowuję się na jaki moment? Na jakie znów odejście spomiędzy popiołów? Jeżeli cały jestem tu i kroję mięso W tej oberży nad chwiejną wspaniałością morza. Wiersz z tomu "Nieobjęta ziemia", pod tytułem "Mojość".

Mojość "Moi rodzice, mój mąż, moja siostra". Jem śniadanie w kafeterii, zasluchany Głosy kobiet szeleszcza i spełniają się W rytuale, który jest nam potrzebny Kątem oka przyglądam się ruchliwym ustom I słodko mi, że jestem tu na ziemi, Jeszcze chwilę, razem, tu na ziemi, żeby celebrować naszą małą moją. Też z tomu "Nieobjęta ziemia", wiersz pod tytułem "Poeta siedemdziesięcioletni".

Poeta siedemdziesięcioletni Tyżeś to, bracie teologu, Znacwo niebiosów i otchłani, Spodziewający się co roku Kiedy ślęczałeś nad księgami, Ze dotkniesz ostatniego progu. Zaiste, bardzoś poniżony, Splendor myśleniu jest odjęty, Zeszedłeś między ludzkie domy I odpływają jak okręty A cel i port ich niewiadomy W tawernach siedzisz pijąc wino, W zgiełku lubujesz się i wrzawie Głosów co ledwie są już giną Jak muzyki w grającej szafie. I gdzie tu myśleć nad przyczyną. Raduje ciebie smętna ziemia, Napój wywarza się miłosny, Moc czarodziejska serce zmienia A przy niej lament wielkopostny, I tak się uczysz wybaczenia. Żarłoczny, lekkomyślny, chciwy, Jak gdyby śmierć nie dosięgała, Biegniesz wpatrzony w ziemskie dziwy. W teatrum przewrotnego ciała Inne co dnia i co godziny. Tusz i pomadkę mieć na sobie, W jedwab ustroić się i pióra, I w gruchającej, ptasiej mowie Udawać, że tak chce natura. Tyle rozumiesz, filozofie. I cała twoja mądrość na nic Choć na szukaniu życie zbiegło, I nie wiesz teraz co poradzić, Bo silny trunek, wielkie piękno I szczęście, które żal zostawić.

Wiersz z 1985 roku, z tomu "Kroniki", pod tytułem "To jedno". To jedno Dolina i nad nią lasy w barwach jesieni. Wędrowiec przybywa, mapa go tutaj wiodła A może pamięć. Raz, dawno, w słońcu, Kiedy spadł pierwszy śnieg, jadąc tędy Doznał radości, mocnej, bez przyczyny, Radości oczu. Wszystko było rytmem Przesuwających się drzew, ptaka w locie, Pociągu na wiadukcie, świętem ruchu. Wraca po latach, niczego nie żąda. Chce jednej tylko, drogocennej rzeczy: Być samym czystym patrzeniem bez nazwy, Bez oczekiwań, lęków i nadziei, Na granicy gdzie kończy się ja i nie-ja. 1985 1985, z tomu "Kroniki".

W słoju Teraz ja z moją wiedzą, szanowne trytony Zbliżam się do słoja, w którym mieszkacie I patrzę jak wznosicie się pionowo ku powierzchni wody Pokazując brzuchy, których kolor Cynobrowy, płomienny, spokrewnia was Z alchemiczną salamandrą żyjącą w ogniu. Może dlatego was upolowałem W sadzawce między sosnami, kiedy pędzą kwietniowe obłoki I niosłem do miasta w blaszance, dumny z trofeum. Nie ma was od tak dawna, rozmyślam o chwili W której żyłyście nieświadome godzin i lat. Zwracam się do was, daję wam istnienie, Nawet imię i tytuł w księstwie gramatyki, Żeby was koniugacja chronić od nicości. Sam pewnie w mocy potęg, które oglądają mnie I przenoszą w jakąś nad-formę gramatyczną, A ja czekam z nadzieją, że porwą mnie i uniosą I trwać będę, jak alchemiczna salamandra w ogniu. 1985 "Wyznanie" - 1986, z tomu "Kroniki".

Wyznanie Panie Boże, lubiłem dżem truskawkowy I ciemną słodycz kobiecego ciała. Jak też wódkę mrożoną, śledzie w oliwie, Zapachy: cynamonu i goździków Jakiż więc ze mnie prorok? Skąd by duch Miał nawiedzać takiego? Tylu innych Słusznie było wybranych, wiarygodnych. A mnie kto by uwierzył? Bo widzieli Jak rzucam się na jądło, opróżniam szklanice, I łakomie patrzę na szyję kelnerki. Z defektem i świadomy tego. Pragnący wielkości, Umiejący ją rozpoznać gdziekolwiek jest, A jednak niezupełnie jasnego widzenia, Wiedziałem co zostaje dla mniejszych, jak ja: Festyn krótkich nadziei, zgromadzenie pysznych, Turniej garbusów, literatura. 1986 "Ale książki" - wiersz z tomu "Kroniki", '86. Ten wiersz był dla odmiany umieszczony w londyńskiej kolejce podziemnej przez jakieś Towarzystwo

Propagandy Poezji, brytyjskie Towarzystwo Propagandy Poezji, Ale książki
Ale książki będą na półkach, prawdziwe istoty, Które zjawiły się raz, świeże,
jeszcze wilgotne, Niby lśniące kasztany pod drzewem w jesieni, I dotykane,
pieszczone, trwać zaczęły Mimo łun na horyzoncie, zamków wylatujących w
powietrze, Plemion w pochodzie, planet w ruchu. Jesteśmy - mówiły, nawet kiedy
wydzierano z nich karty Albo litery zlizywał buzujący płomień. O ileż trwalsze
od nas, których ułomne ciepło Stygnie razem z pamięcią, rozprasza się, ginie.
Wyobrażam sobie ziemię kiedy mnie nie będzie I nic, żadnego ubytku, dalej
dziwowisko, Suknie kobiet, mokry jaśmin, pieśń w dolinie. Ale książki będą na
półkach, dobrze urodzone, Z ludzi, choć też z jasności, wysokości. 1986
Wieczór Moment niskich obłoków przed wzejściem księżyca Doskonale
nieruchomych na linii morza: Świetlistość morelowa z obrzeżem popiołu
Ciemnieje, gaśnie, stygnie w szary karmin. Kto widzi? Ten, kto zwątpił o
swoim istnieniu. Stawia kroki na plaży, chce pamiętać. I gdzież tam.
Bezpowrotny jak obłoki. Płuca, wątroba, seks, nie ja, nie moje. Maski,
peruki, koturny, przybywajcie! Odmieńcie mnie, zabierzcie na jaskrawą scenę,
Żeby na chwilę mógł wierzyć, że jestem! O hymnie, poemacie, melopeo, Śpiewaj
moimi ustami, umilknie i zginie! I tak powoli zagłębia się w nory
Okeanicznej. Nie zatrzymywany Wschodami słońca ni wzejściem księżyca.
Wiersz z tomu "Dalsze okolice" - to już jeden z moich późnych tomów. Sens
- Kiedy umrę, zobaczę podszewkę świata. Drugą stronę, za ptakiem, górą i
zachodem słońca. Wzywające odczytania prawdziwe znaczenie. Co nie zgadzało się,
będzie się zgadzało. Co było niepojęte, będzie pojęte. - A jeżeli nie ma
podszewki świata? Jeżeli drozd na gałęzi nie jest wcale znakiem Tylko drozdem
na gałęzi, jeżeli dzień i noc Następują po sobie nie dbając o sens I nie ma nic
na ziemi, prócz tej ziemi? Gdyby tak było, to jednak zostanie Słowo raz
obudzone przez nietrwałe usta, Które biegnie i biegnie, poseł niestrudzony, Na
międzygwiazdne pola, w kołowrót galaktyk I protestuje, woła, krzyczy. To
z mojego późnego tomu "Na brzegu rzeki". W pewnym wieku Chcieliśmy
wyznać grzechy i nie było komu. Obłoki nie chciały ich przyjąć, ani wiatr
Odwiedzający wszystkie po kolei morza. Nie udało się nam zainteresować
zwierząt. Psy, zawiedzione, czekały na rozkaz. Kot, jak zawsze niemoralny,
zasypiał. Osoba, zdawałoby się, nam bliska Nie była skłonna słuchać o tym, co
działo się dawno. Rozmów z innymi, przy wódce albo kawie Nie należało
przedłużać poza pierwszy sygnał znużenia. Poniżające byłoby płacić od godziny
Człowiekowi z dyplomem za to tylko, że słucha. Kościoły. Może kościoły. Ale
wyjawić tam co? Ze wydawali się sobie piękni i szlachetni, A później na tym
miejscu szkaradna ropucha Półotwiera grube powieki I już wiadomo: "To ja".
Wiersz z tomu "Na brzegu rzeki". Capri Jestem dzieckiem, które
przystępuje do pierwszej komunii w Wilnie i później pije kakao roznoszone przez
gorliwe katolickie panie. Jestem stary człowiek, który tamten ranek czerwcowy
pamięta: upojenie bezgrzesznych, białe obrusy i słońce na wazach z bukietami
piwonii. Qu'as tu fait, gu'as tu fait de ta vie? - głosy nawołują w różnych
językach pozbieranych w wędrówkach po dwóch kontynentach. Co zrobiłeś ze swoim
życiem, co zrobiłeś? Powoli, rozważnie, teraz kiedy dokonało się
przeznaczenie, zapuszczam się między widoki minionego czasu, Mego stulecia, w
którym, i w żadnym innym, kazano mi urodzić się, pracować i zostawić ślad. Te
katolickie panie przecież istniały i gdybym tam wrócił, tożsamy, ale z inną
świadomością, wpatrywałbym się, chcąc zatrzymać, w ich niktne twarze.
Jeszcze powozy i zady koni oświetlone błyskawicą albo pulsującą łuną dalekiej
artylerii. Chaty kurne, dym kłębiący się na ich dachach i szerokie drogi
piaszczyste w sosnowych borach. Kraje i miasta, które muszą zostać bez
imienia, bo komu wytłumaczę, dlaczego i ile razy zmieniano ich sztandary i
godła? Wcześniej otrzymujemy wezwanie, ale pozostaje niezrozumiałe i tylko
nieprędko okazuje się, jak bardzo byliśmy posłuszni. Rzeka toczy swój nurt jak
dawniej pod kościołem Świętego Jakuba, jestem tam razem z moją głupotą, która
mnie zawstydyła, choć gdybym był mądrzejszy, i tak by to nie pomogło. Wiem

teraz, że głupota jest potrzebna wszelkim zamiarom, żeby spełniały się, krzywo i niezupełnie. I ta rzeka, razem z usypiskami śmieci, z początkami skażenia, płynie przez moją młodość, ostrzegając przed tęsknotą do idealnych miejsc na ziemi. A jednak tam, na tej rzece, zaznałem pełnego szczęścia, które jest ekstazą poza jakąkolwiek myślą i troską, i dotychczas trwa w moim ciele. Tak jak szczęście nad małą rzeką mego dzieciństwa, w parku, którego dęby i lipy miano ściąć z woli barbarzyńskich zdobywców. Błogosławię was, rzeki, wymawiam wasze imiona, tak jak wymawiała je moja matka, z szacunkiem a pieścizotliwie. Kto ośmieli się powiedzieć: zostałem wezwany, i dlatego Moc uchroniła mnie od kul prujących obok mnie piasek albo rysujących desenie na murze koło mojej głowy. Od sennego zatrzymania do wyjaśnienia, które kończy się podróżą w bydlęcym wagonie, tam skąd nie wracają żywi? Od zastosowania się do rozkazu, żeby zarejestrować się, kiedy ocaleją nieposłuszni? Tak, ale oni, czyż każdy z nich nie modlił się do swego Boga, prosząc błagalnie: uratuj! I słońce wschodziło nad obozami tortur, i dotychczas ich oczami widzę, jak wschodzi. Dobijam osiemdziesiątki, lecę z San Francisco do Frankfurtu i Rzymu, pasażer, który niegdyś jechał trzy dni bryką z Szetejń do Wilna. Lecę Lufthansą, jaka miła stewardessa, oni tutaj tak cywilizowani, że byłoby nietaktem pamiętać, kim byli. Na Capri weseląca się i ucztująca ludzkość zaprasza mnie do udziału w festynie bezustannej odnowy. Obnażone ramiona kobiet, ręka prowadząca smyczek pośród wieczorowych strojów, jarzeń i fleszów otwierają dla mnie chwilę zgody z frywolnością naszego gatunku. Wiara w Niebo i Piekło, labirynty filozofii, umartwienie ciała postami nie są im potrzebne. Jednak boją się znaku, że zbliża się nieuchronne: guza na piersi, krwi w moczu, za wysokiego ciśnienia. Wtedy na pewno wiedzą, że wszyscy jesteśmy wezwani, każdy i każda rozmyśla o niezwykłości osobnego losu. Razem z moją epoką odchodzę przygotowany na wyrok, który mnie policzy między jej fantomy. Jeżeli coś zrobiłem, to tylko, pobożny chłopczyk, ścigając pod przebraniem utraconą Rzeczywistość. Prawdziwa obecność Bóstwa w naszym ciele i krwi, które są jednocześnie chlebem i winem. Olbrzymiejące wezwanie Poszczególnego, na przekór ziemskiemu prawu nicestwienia pamięci. Wiersz pod tytułem "Po osiemdziesiątce". Po osiemdziesiątce Niedługo skończy się cała parada, Co za różnica, wypada nie wypada. Jak będą mnie u- i roz-bierali Jakich dowiedzą się bio-detali. Nieżywemu niedźwiedziowi co do tego, Jak fotografować będą wypchanego. "W Szetejniach" jest to wiersz o miejscu mojego urodzenia w powiecie kiejdańskim, ale głównie o mojej matce. W Szetejniach Ty byłaś mój początek i znów jestem z Tobą, tutaj gdzie nauczyłem się czterech stron świata. Nisko za drzewami strona Rzeki, za mną i budynkami strona Lasu, na prawo strona Świętego Brodu, na lewo Kuźni i Promu. Gdziekolwiek wędrowałem, po jakich kontynentach, zawsze twarzą byłem zwrócony do Rzeki. Czując aromat i smak rozgryzionej białoczerwonej soczystości ajeru. Słyszając stare pogańskie pieśni żeńców wracających z pola, kiedy słońce pogodnych wieczorów dogasało za pagórkami. W zdziczałej zieleni mógłbym wskazać miejsce altany, gdzie zmuszałaś mnie, żebym stawiał pierwsze koślawe litery. A ja wyrwałem się, uciekając do moich kryjówek, bo byłem pewny, że pisać liter nigdy nie będę umiał. Nie spodziewałem się jednak również takiej wiedzy: że rozpadają się w pył kości, mijają dziesiątki lat, a trwa ta sama obecność. Że możemy, tak jak ja z Tobą, przebywać w krainie wiecznych luster, brodząc w nie koszonych trawach równocześnie. `ty II `ty Trzymałaś lejce i dwoje nas jechało jednokonną bryczką w gościnę do wielkiej wioski pod lasem. Gałęzie jej jabłoni i grusz ugięte pod nadmiarem owoców, ganki domów, ozdobne, nad ogródkami malw i ruty. Twoi dawni uczniowie, teraz gospodarze, podejmowali nas rozmową o urodzajach, kobiety pokazywały swoje warsztaty tkackie i deliberowałyście długo o kolorach osnowy i odetki. Na stole wędliny, plastry miodu w glinianej misie, i piłem kwas chlebowy z blaszanej kwarty. Poprosiłem kierownika kołchozu, żeby pokazał mi tę wioskę, zawiózł na pola puste aż po las i zatrzymał auto przed dużym głazem. "Tu była wioska Peiksva", powiedział, nie bez triumfu w głosie, jak to u tych,

co są zawsze z wygrywającymi. Zauważyłem, że jedna część głązu była odłupana, próbowano więc rozbić kamień młotem, żeby znikł nawet ten ślad. `ty III
`ty Wybiegłem o letnim świetle między głosy ptaków i wróciłem, a między chwilą i chwilą napisałem dzieło. Choć tak trudno było ciągnąć pałeczkę n, żeby łączyła się z pałeczką u, albo odważyć się na most między r i z. Trzymałem cienką jak trzcina obsadkę i zanurzałem stalówkę w atramencie, pisarczyk wędrowny z kałamarnicą u pasa. Teraz myślę, że dzieło jest zamiast szczęścia i że zostaje skażone litością i grozą. Jednak duch tego miejsca musi być w nim, tak jak jest w Tobie, którą prowadził od dziecka. Girlandy z dębowych liści, sygnaturka w rozwidleniu lipy wzywająca na Majowe, chciałem być dobry i nie chodzić między grzesznikami. Ale kiedy staram się teraz przypomnieć sobie co było, tylko studnia, i tam tak ciemno, że nic nie można zrozumieć. Wiadomo tylko, że jest grzech i jest kara, cokolwiek mówią filozofowie. Oby moje dzieło przyniosło ludziom pożytek i więcej ważyło niż moje zło. Ty jedna, mądra i sprawiedliwa, umiałabyś mnie uspokoić, tłumacząc, że zrobiłem tyle, ile mogłem. Że zamyka się furтка Czarnego Ogrodu, pokój, pokój, co skończone, to skończone. "Nie mój" to jest wiersz, który był w mojej książce "Piesek przydrożny"; wiersz w mieszanym tomie wierszy i prozy. Nie mój Całe życie udawać, że mój ten ich świat, I wiedzieć, że hańbiące takie udawanie. Ale co mogę zrobić? Gdybym wrzasnął I zaczął prorokować, nikt by nie usłyszał. Nie na to ich ekrany, mikrofony. Tacy jak ja błądzą ulicami I mówią do siebie. Śpią na ławkach w parku, W pasażach na asfalcie. Bo więzień za mało, Żeby pozamykać wszystkich ubogich. Uśmiecham się i milczę. Mnie już nie dopadną. Do stołu z wybranymi zasiadać - to umiem. Wiersz pod tytułem "Jasności promieniste" nie był nigdzie drukowany, w żadnym tomie, był drukowany w piśmie, w "Zeszytach Literackich". Jasności promieniste Jasności promieniste, Niebiańskie rosy czyste Pomagajcie każdemu Ziemi doznającemu. Za niedosiężną zasłoną Sens ziemskich spraw umieszczono. Gonimy dopóki żywi, Szczęśliwi i nieszczęśliwi. To wiemy, że bieg się skończy I rozłączone się złączy W jedno, tak jak być miało: Dusza i biedne ciało. "Świat (Poema naiwne)". Poemat "Świat" był napisany w Warszawie w 1943 roku. Ta data jest bardzo ważna, dlatego że żaden tego rodzaju utwór w Warszawie okupacyjnej nie powstał i być może nie mógł powstać, tak że ten utwór jest czymś zupełnie wyjątkowym i nie można powiedzieć, że pogoda tego utworu nie jest połączona w jakiś sposób, jakimiś niemi z horrorem tamtego czasu. Poemat dzieli się na poszczególne rozdziały mające osobne tytuły. Świat (Poema naiwne) Droga Tam, gdzie zielona ściele się dolina I droga, trawą zarosła na poły, Przez gaj dębowy, co kwitnąć zaczyna, Dzieci wracają do domu ze szkoły W piórniku, który na wskos się otwiera, Chrobocą kredki wśród okruchów bułki I grosz miedziany, który każde zbiera Na powitanie wiosennej kukułki. Berecik siostry i czapeczka brata Migają między puszystą krzewiną. Sójka skrzekocząc po gałęziach lata I długie chmury nad drzewami płyną. Już dach czerwony widać za zakrętem. Przed domem ojciec, wsparty na motyce, Schyla się, trąca listki rozwinięte I z grządki całą widzi okolicę. Furтка Potem ją całą chmiel gęsty owinie, Ale tymczasem jest tego koloru, Co liście lilii wodnych na głębinie Zrywane w świetle letniego wieczoru. Sztachety z wierzchu malowane biało: Białe i ostre, zawsze jak płomyki. Dziwne, że ptakom to nie przeszkadzało, Raz nawet usiadł na nich gołąb dziki. Klamka jest z drzewa, gładka tak jak bywa Drzewo wytarte ujmowaniem ręką. Pod klamkę lubi skradać się pokrzywa, A żółty jaśmin jest tu latarenką. Ganek Ganek, na zachód drzwiami obrócony, Ma duże okna. Słońce tutaj grzeje. Widok szeroki stąd na wszystkie strony, Na lasy, wody, pola i aleje. Kiedy już dęby w zieleń się przybiorą, A lipa cieniem zakryje pół grzędy, Świat ginie w dali za niebieską korą, Pocięty liśćmi w cętkowane zęby. Tutaj brat z siostrą, nad małym stolikiem Klęczą rysując wojny i pogonie. I pomagają różowym językiem Wielkim okrętom, z których jeden tonie. Jadalnia Pokój, gdzie niskie okna, cień brązowy I gdański zegar milczy w kącie. Niska Sofa obita skórą, nad nią głowy Dwóch

uśmiechniętych diabłów wyrzeźbione I miedzianego rondla brzuch połyska. Na ścianie obraz. Przedstawiona zima: Między drzewami ślizga się na lodzie Gromada ludzi, dym idzie z komina I wrony lecą w pochmurnej pogodzie. Tuż drugi zegar. Ptak wewnątrz tam siedzi, Wybiega skrzypiąc i woła trzy razy. A ledwo zdąży krzyknąć po raz trzeci, Dymiąca zupę matka bierze z wazy. Schody Żółte, skrzypiące i pachnące pastą Stopnie są wąskie - kto idzie przy ścianie, Może bucikiem celować spiczasto, A przy poręczu noga ledwie stanie. Łeb dzika żyje, ogromny na cieniu. Najpierw kły tylko, potem się wydłuża I ryjem wodzi, wężąc, po sklepieniu, A światło w drżących rozpiływa się kurzach. Matka w dół płomień migotliwy niesie. Schodzi wysoka, sznurem przepasana. Jej cień do cienia dziczej głowy pnie się: Tak z groźnym zwierzem mociuje się sama.

Obrázky Otwarta książka. Mól rozchwanianym lotem Leci nad mknącym w kurzawie rydwanem. Dotknięty, spada prósząc pyłem złotym Na greckie szyki w mieście zdobywanym. Toczy się rydwan, o kamienne płyty Uderza głowa, wloką bohatera, A mól, do karty kłaśnięciem przybity, Na jego ciele, trzepiąc się, umiera. Tymczasem niebo chmurzy się, grom bije, Nawy od skały uciekają w morze. A obok woły gną pod jarzmem szyje I nagi rolnik grunt na brzegu orze. Ojciec w bibliotece Wysokie czoło, a nad nim zwichrzone Włosy, na które słońce z okna pada. I ojciec jasną ma z puchu koronę, Gdy wielką księgę przed sobą rozkłada. Szata wzorzysta jak na czarodzieju, Zaklęcia głosem przyciszonym mruży Jakie są dziwy, co w księdze się dzieją, Dowie się, kogo Bóg czarów nauczy. Zaklęcia ojca "O słodki mędrco, jakimże spokojem Pogodna mądrość twoja serce darzy! Kocham cię, jestem we władaniu twojem, Choć nigdy twojej nie zobaczę twarzy. Popioły twoje dawno się rozwiały, Grzechów i szaleństw nikt już nie pamięta. I już na wieki jesteś doskonały Jak księga, myślą z nicości wyjęta. Ty znałeś gorycz i znałeś zwątpienie, Ale win twoich pamięć zaginęła. I wiem, dlaczego dzisiaj ciebie cenię: Mali są ludzie, wielkie są ich dzieła". Z okna Za polem, lasem i za drugim polem Ogromna woda białym lustrem lśni się. A na niej ziemia złotawym podolem Nurza się w morzu jak tulipan w misie. Ojciec powiada, że to Europa. W dniu jasne całą widać jak na dłoni, Dymiąca jeszcze po wielu potopach, Mieszkanie ludzi, psów, kotów i koni. Miast kolorowych iskrzą się tam wieże. Jak nitki srebra plotą się strumienie I gór księżycy, niby gęsie pierze To tu, to ówdzie zaściełają ziemię. Ojciec objaśnia "Tam, gdzie ten promień równiny dotyka I cień ucieka, jakby biegł naprawdę, Warszawa stoi, ze wszech stron odkryta, Miasto niestare, ale bardzo sławne. Dalej, gdzie z chmurki wiszą deszczu struny, Pod pagórkami z akacjowym gajem, To Praha. Nad nią zamek widać cudny, Wsparty na górze starym obyczajem. To, co krainę białą pianą dzieli, To Alpy Czarność - to są lasy jodły Za nimi, w słońca żółtego kąpieli Italia leży niby talerz modry. Z pięknych miast, których wznosi się tam wiele, Rzym rozpoznacie, chrześcijaństwa stolicę, Po tych okrągłych dachach na kościele, Czyli świętego Piotra bazylice. A tam, na północ, za morską zatoką, Gdzie mgły niebieskiej chwieje się równina, Paryż chce wieży towarzyszyć krokom I stado mostów ponad rzeką wspina. I inne miasta Paryżowi wtórna Szklę ozdobił, okute żelazem. Ale na dzisiaj byłoby za dużo. Resztę opowiem kiedyś innym razem".

Przypowieść o maku Na ziarnku maku stoi mały dom, Pieski czekają na księżyc makowy I nigdy jeszcze tym makowym psom, Ze jest świat większy, nie przyszło do głowy. Ziemia to ziarnko - naprawdę nie więcej, A inne ziarnka - planety i gwiazdy A choć ich będzie chyba sto tysięcy, Domek z ogrodem może stać na każdej. Wszystko w makówce. Mak rośnie w ogrodzie, Dzieci biegają i mak się kołysze. A wieczorami, o księżycu wschodzie Psy gdzieś czekają, to głośniejsze, to ciszej. Przy piwoniach Piwonie kwitną, białe i różowe, A w środku każdej, jak w pachnącym dzbanie, Gromady żuczków prowadzą rozmowę, Bo kwiat jest dany żuczkom na mieszkanie. Matka nad klombem z piwoniemi staje, Sięga po jedną i płatki rozchyła, I długo patrzy w piwoniowe kraje, Dla których rokiem bywa jedna chwila. Potem kwiat puszcza i, co sama myśli, Głośno i dzieciom, i sobie powtarza. A wiatr kołysze zielonymi liśćmi I cętki światła

biegają po twarzach. Wiara Wiara jest wtedy, kiedy ktoś zobaczy Listek na wodzie albo kroplę rosy I wie, że one są - bo są konieczne. Choćby się oczy zamknęło, marzyło, Na świecie będzie tylko to, co było, A liść uniosą dalej wody rzeczne. Wiara jest także, jeżeli ktoś zrani Nogę kamieniem i wie, że kamienie Są po to, żeby nogi nam raniły. Patrzcie, jak drzewo rzuca długie cienie, I nasz, i kwiatów cień pada na ziemię: Co nie ma cienia, istnieć nie ma siły

Nadzieja Nadzieja bywa, jeżeli ktoś wierzy, Ze ziemia nie jest snem, lecz żywym ciałem, I że wzrok, dotyk ani słuch nie kłamie. A wszystkie rzeczy, które tutaj znałem, Są niby ogród, kiedy stoisz w bramie. Wejść tam nie można. Ale jest na pewno. Gdybyśmy lepiej i mądrzej patrzyli, Jeszcze kwiat nowy i gwiazdę niejedną W ogrodzie świata byśmy zobaczyli. Niektórzy mówią, że nas oko łudzi I że nic nie ma, tylko się wydaje, Ale ci właśnie nie mają nadziei. Myśla, że kiedy człowiek się odwróci, Cały świat za nim zaraz być przestaje, Jakby porwały go ręce złodziei.

Miłość Miłość to znaczy popatrzeć na siebie, Tak jak się patrzy na obce nam rzeczy, Bo jesteś tylko jedną z rzeczy wielu. A kto tak patrzy, choć sam o tym nie wie, Ze zmartwień różnych swoje serce leczy, Ptak mu i drzewo mówią: przyjacielu. Wtedy i siebie, i rzeczy chce użyć, Żeby stanęły w wypełnienia łunie. To nic, że czasem nie wie, czemu służyć: Nie ten najlepiej służy, kto rozumie.

Wyprawa do lasu Drzewa ogromne, że nie widać szczytu, Słońce zachodząc różowo się pali Na każdym drzewie jakby na świeczniku, A ludzie idą ścieżką, tacy mali. Zadrzyjmy głowy, weźmy się za ręce, Żeby nie zgubić się w trawach jak w borze. Noc już na kwiaty nakłada pieczęcie I z góry spływa kolor po kolorze. A tam nad nami uczta. Dzbany złota, Czerwone wina w osinowej miedzi. I wiezie dary powietrzna karoca Dla niewidzialnych królów czy niedźwiedzi.

Królestwo ptaków W wysokim locie ociążałe głuszce Skrzydłami niebo nad lasami kraja I gołąb wraca w napowietrzną puszcze, I kruk połyska jak samolot stała. Czym dla nich ziemia? Ciemności jeziorem. Noc ją połknęła na zawsze, a one Mają nad mrokiem jak nad czarną falą Domy i wyspy światłem ocalone. Jeżeli gładząc dziobem długie pióra Upuszczają jedno - pióro długo spada, Zanim dna jezior głębokich dosięgnie. I o policzek trąca - wieść ze świata, Gdzie jasno, ciepło, swobodnie i pięknie.

Trwoga "Ojcze, gdzie jesteś! Las ciemny, las dziki, Od biegu zwierząt kołyszą się chaszcze, Trującym ogniem buchają storczyki, Pod nogą czają się wilcze przepaście. Gdzie jesteś, ojcze! Noc nie ma granicy, Odtąd już zawsze ciemność będzie trwała. Bezdomni, z głodu umrą podróżnicy, Chleb nasz jest gorzki, wyschnięty jak skała. Gorący oddech straszliwego zwierza Zbliży się, prosto w twarz smrodem ziele. Dokąd odszedłeś, ojcze, jak ci nie żal Dzieci, w te głuche zabłąkanych knieje".

W tym wierszu "Trwoga" jednak daje o sobie znać groza nocy okupacyjnej.

Odnalezienie "Tu jestem. Skądże ten lęk nierozumny? Noc zaraz minie, dzień wszędzie niedługo. Słyszycie: grają już pastusze surmy I gwiazdy bledną nad różową smugą. Ścieżka jest prosta. Jesteśmy na skraju. Tam w dole dzwonek w wiosce się odzywa. Koguty światło na płotach witają I dymi ziemia, bujna i szczęśliwa. Tu jeszcze ciemno. Jak rzeka w powodzi Mgła czarne kępy borówek otula. Ale już w wodę świt na szczudłach wchodzi I dzwoniąc toczy się słoneczna kula".

Ostatni wiersz poematu "Świat" - "Słońce". Słońce Barwy ze słońca są. A ono nie ma żadnej osobnej barwy, bo ma wszystkie. I cała ziemia jest niby poemat, A słońce nad nią przedstawia artystę. Kto chce malować świat w barwnej postaci, Niechaj nie patrzy nigdy prosto w słońce. Bo pamięć rzeczy, które widział, straci, Łzy tylko w oczach zostaną piekące. Niechaj przyklęknie, twarz ku trawie schyli I patrzy w promień od ziemi odbity Tam znajdzie wszystko, cośmy porzucili: Gwiazdy i róże, i zmierzchy i świty

Warszawa, 1943 Traktat poetycki (1957) Wstęp Mowa rodzinna niechaj będzie prosta. Ażby każdy, kto usłyszy słowo Widział jabłonie, rzekę, zakręt drogi, Tak jak się widzi w letniej błyskawicy Nie może jednak mowa być obrazem I niczym więcej. Wabi ją od wieków Rozkołysanie rymu, sen, melodia. Bezbroną mijają suchy, ostry świat. Niejeden pyta dzisiaj co to znaczy Ten

wstyd, jeżeli czyta księgę wierszy, Jakby do gorszej natury w nim samym Zwracał się autor w niejasnym zamiarze Myśl odsuwając i myśl oszukując. Z przyprawą żartu, błazeństwa, satyry, Jeszcze się umie podobać poezja. Jej znakomitość wtedy się docenia. Ale te walki, gdzie stawką jest życie Toczy się w prozie. Nie zawsze tak było. I niewyznany dotychczas jest żal. Służą, nie trwają, romanse, traktaty Bo więcej waży jedna dobra strofa Niż ciężar wielu pracowitych stronic.

I. Piękne czasy Fiakry drzemały pod Mariacką Wieżą. Kraków malutki jak jajko w listowiu Wyjęte z rondla farby na Wielkanoc. I w pelerynach kroczyli poeci. Nazwisk ich dzisiaj już się nie pamięta. Ale ich ręce były rzeczywiste, Spinki, mankiety nad blatem stolika. Dziennik na kiju niósł Ober i kawę Aż minął, tak jak oni, bez imienia. Muzy, Rachele w powłóczytym szalu, Zwilżały usta, warkocz upinając Szpilką co leży z popiołem ich córek Albo w gablotce, przy konchach bez dźwięku I szklanej lilii. Anioły secesji W ciemnych wygódkach rodzicielskich domów Rozmyślające o związku płci z duszą, Leczące w Wiedniu smutki i migreny (Docent Freud, słyszę, z Galicji jest rodem). I Annie Csilag rosły, rosły włosy, Szamerowana była pierś huzarów Po górskich wioskach szła wieść o Cesarzu, Którego powóz widział ktoś w dolinie. Tam nasz początek. Na próżno się bronić, Próżno wspominać daleki Wiek Złoty. Nam raczej przyjąć i uznać za swoje Wasik z pomadą, melonik na bakier I tombakowej brzękanie dewizki. Za swoją uznać pieśń przy kuflu piwa W czarnych jak sukno fabrycznych osadach. Zapałką trzasnąć, na dwanaście godzin Iść, tworzyć w dymach postępowanie i bogactwo. Płacz, Europo, i czekaj szyfkarty W grudniowy wieczór, w porcie Rotterdamu Milczący stanie okręt emigrantów W zamarżniętych masztach, jak w śnieżne chojary, Z dołu uderzy litaniyjny chór W chłopskim, słoweńskim czy polskim narzeczu. Trafiona z pistoletu gra pianola. Kadryl po knajpach goni dzikie pary. I ruda, tłusta, przytkając w podwiązkę, Z rozwalonymi udami na tronie, W pantoflach z puszkiem, czeka tajemnica Na domokrażców gum i salwarsanu. Tam nasz początek. Już miga iluzjon: Max Linder krowę prowadzi i pada. W ogródkach świecą przez zieleń lampiony Żeńska orkiestra w puzon, w puzon dmie. Aż z rąk, pierścieni, gorsetów liliowych, Z popiołu cygar, wije się, rozwija Przez bory, lasy, góry i równiny Komenda: "Vorwärts!" "En avant!" "Allez!" To nasze serca, wapnem przysypane, Na pustych polach, które zliział płomień. I nikt nie wiedział czemu się skończyło - Grała pianola - postępowanie i bogactwo. Styl nasz, choć to jest przykre, tam się rodzi. Bzyka pokorna lira wcześniej rano W mansardzie nad grzechotką tingel-tanglu. Pieśń eteryczna niby chrobot gwiazd. Handlarzom i ich żonom niepotrzebna I ludziom z górskich wiosek niepotrzebna. Czysta, na przekór smutnym sprawom ziemi. Czysta. Nie wolno jej użyć wyrazów: Telefon, pociąg, bidet, rzyć i pieniądz. Uczy się czytać długowłosa Muza W ciemnych wygódkach rodzicielskich domów I wie już odtąd, co poezją nie jest. A jest nią tylko wzruszenie i powiew Który w trzech kropkach mieszka, za przecinkiem. Płyńcie, falujcie nieprzetłumaczalne, Ersatz modlitwy Tak odtąd zostanie. Wzbroniony będzie oddech zwykłej składni. "Phi, publicystyka. Niech mówi prozą". Aż kiedyś, w szkołach nowej awangardy, Odkryciem nazwą postarzały zakaz. Nie wszyscy giną bez śladu poeci. Kasprowicz ryczał, rwał jedwabne pęta. A zerwać nie mógł, bo są niewidoczne, A to nie pęta, raczej nietoperze, Wypijające z mowy sok w przelocie. Staff, niewątpliwie, był koloru miodu I czarownicy, gnomy, deszcz wiosenny Sławił na niby dla świata na niby Co do Leśmiana, ten wyciągnął wnioski: Jeżeli ma być sen, to sen aż do dna. Mała uliczka jest w małym Krakowie. Dwóch kiedyś chłopców tam obok mieszkało. Jeżeli jeden szedł z gimnazjum Anny Widział drugiego jak bawił się w piasku. Różny im dany los i różna sława. Olbrzymie morza, niepojęte kraje, Wyspy na których za rafa koralu W rogatą muszlę dmą nagie plemiona Poznał marynarz. Trwa dotychczas chwila Kiedy w bezludnym upale Brukseli Wstępował wolno na schody z marmuru I dzwonek, tam gdzie S akcyjnej spółki, Przycisnął, długo wsłuchując się w ciszę. Wszedł. Dwie kobiety plotły nić na drutach. Jemu zdawało się, że to są Parki. Zwijając pasmo w stronę drzwi skinęły Anonimową dłoń podał dyrektor. Tak Józef Conrad

został kapitanem Statku na rzece Kongo, bo sądzone. Głos ostrzeżenia, dla tych, co słyszeli Ukrył w powiastce znad tej rzeki Kongo: Cywilizator, oszalały Kurtz, Miał kość słoniową ze śladami krwi, Na memoriale o światłach kultury Pisał "ohyda" a więc już wstępował W dwudziesty wiek. Tymczasem dziś-dziś, Podkówki, wstażki i taniec nad ranem Pod wtór basetli w podkrakowskiej wiosce, I od stuleci grały się jasełka. Nieprzemóżonej woli był Wyspiański. Teatr narodu widział jak u Greków Ale sprzeczności zwyciężyć nie zdołał Ona przełamie mowę i widzenie, Ona oddaje nas w niewolę dziejów, Aż nie jesteśmy osoby, mniej, ślady, Pieczęcie w których odcisnął się styl. Nam nie zostawił Wyspiański pomocy. W spadku nie takie wzięto monumentum. Żartem poczęte, nie dla każdej chwały, Zgodne z językiem jak śpiewka przedmieścia I niecielesnej myśli ku nauce, Szkoda że fraszka - tylko "Słówka" Boya. Dzień ten przygasa. Świece zapalono. Na Oleandrach zamek karabinu Nie szczeka więcej i błonia są puste. W piechurskich butach odeszli esteci. Włosy ich zamiótł chłopak u fryzjera. Stoi na polach mgła i zapach dymu. A ona, ona ma woalkę lila. Przy świecach palce kładzie na klawisze. I, kiedy doktor kieliszki nalewa, Pieśń, co jest dla nas wieścią znikąd, śpiewa: Szumiały mu echa kawiarni Całunem się kładły na skroń. Z poematu "Po ziemi naszej" - jest to poemat, który był napisany w Kalifornii bodaj w 1962 roku - przeczytam dwa fragmenty. Po ziemi naszej `ty 3 `ty Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat wziąłbym chomika albo jeża albo kreta, posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze i przytykając ucho do mokrego pyszczka słuchałbym co mówi o świetle reflektorów, o dźwiękach muzyki i ruchach baletu. Iteż z tego samego poematu "Po ziemi naszej". `ty 6 `ty A słowo z ciemności wyjawione było gruszka. Krażyłem dokoła niego podskakując to próbując skrzydełek. Ale kiedy już-już piłem z niego słodycz oddalało się. Więc ja do cukrówki - wtedy kąt ogrodu, złuszczone biała farba drewnianych okiennic, krzak derenu i szelest przeminionych ludzi. Więc ja do sapieżanki - wtedy zaraz pole za tym, nie innym, płotem, ruczaj, okolica. Więc ja do uleگاłki, do bery i do bergamoty Na nic. Między mną i gruszką ekwipaże, kraje. I tak już będę żyć, zaczarowany. Z poematu "Gucio zaczarowany". Ten poemat ma motto wzięte z pisma, które wychodziło w Warszawie w latach tysiąc siedemset siedemdziesiątych, konkretnie 1776, a motto to brzmi; "Istoty od nicości odległość jest nieskończona". Guccio zaczarowany Pochyłe pola i trąbka. Ten zmierzch i nisko leci ptak i błysły wody Rozwinęły się żagle na brzask za cieśniną. Wchodziłem we wnętrze lilii mostem złotogłowiu. Dane było życie ale niedosiężne. Od dzieciństwa do starości ekstaza o wschodzie słońca. Będąc dzieckiem czytałem książkę pod tytułem "Gucio zaczarowany". Nota bene Zofii Urbanowskiej. Po wielu latach pod wpływem tej książki napisałem następujący fragment poematu "Gucio zaczarowany". Tytuł też pochodzi oczywiście od tej książki. `ty 7 `ty Guccio, niegrzeczny chłopczyk, został zamieniony w muchę. Mył się według obrządku much pod skałą cukru I prostopadle biegał po jaskiniach sera. Leciał przez okno w jarzący się ogród. I tam, nieposkromione promy liści Wiozły kroplę napięta od nadmiaru tęczy, Mszyste parki z krynicami światła rosły w górach kory, Sypał się cierpki pył z giętkich kolumn w środku cynobrowych kwiatów A choć trwało to nie dłużej niż od podwieczorku do kolacji, Zawsze potem, kiedy miał prasowane spodnie i strzyżone wąsy, Myślał, trzymając szkło z alkoholem, że ich oszukuje, Bo mucha nie powinna rozmawiać o narodzie i wysokości produkcji. Kobieta naprzeciwno była wulkanicznym szczytem Gdzie wąwozy, kraterzy i w kotlinach lawy Ruch ziemi pochyła skręcone pnie sosen. Jeszcze jeden fragment poematu "Gucio zaczarowany". `ty 8 `ty Między mną i nią był stół, na stole szklanka. Spierzchnięta skóra jej łokci dotykała lśniącej powierzchni W której odbijał się zarys cienia pod pachą. Kropla potu gęstniała nad falistą wargą. A przestrzeń między mną i nią dzieliła się nieskończenie, Huczająca pierzastymi strzałami Eleatów, Nie wyczerpie jej rok ni sto lat podróży Gdybym przewrócił stół, co byśmy spełnili. Ten akt, nie-akt, bo zawsze potencjalny Jak zamiar wejścia w drzewo, w wodę, w minerały Ale ona też patrzyła na mnie jak

na pierścieniu Saturna I wiedziała, że wiem jak nikt nie dosięga. Tak
stanowiona była człowieczość i tkliwość. Berkeley, 1962 Poemat
"Miasto bez imienia" był napisany w Kalifornii w latach sześćdziesiątych. Coś
mi się zdaje, że to musiał być 1965. Oczywiście ten tytuł odnosi się do miasta,
które nie ma imienia, bo jest Wilno albo Vilnius, albo Wilnie, albo Wilna. To
jest poemat niewątpliwie o mieście Wilnie. Miasto bez imienia `ty 3
`ty Z flecikami, z pochodniami i bęben bum bum, o, to ten co umarł nad
Bosforem tam na przedzie. Swoją pannę za pod rękę tutaj wiedzie i jaskółki nad
nimi latają. Wiosła niosą albo kije liśćmi owinięte i znad Jezior Zielonych
bukiety Coraz bliżej ulicą Zamkową - i już nic, to tylko stoi obłok nad Sekcją
Twórczości Oryginalnej Koła Polonistów `ty 4 `ty A książek tośmy całą
bibliotekę napisali. A krain tośmy co niemiara zjeździli. Bitew dużośmy, dużo
przeegrali. Aż i nie ma, ni, nas ni Maryli. To też z poematu "Miasto bez
imienia" - taki madrygał trochę imitujący poezję polską XVIII wieku może...
`ty 5 `ty Litość i zrozumienie w wysokiej mamy cenie, no bo co? Pycha ciała
i sława, pocałunki i brawa, komu to? Medykowie, prawnicy, oficerowie śliczni,
w czarnej jamie. Futra, rzęsy, obrączki, ukłony w słońcu po mszy.
Odpoczywanie. Dobranoc piersi parzyste, śnijcie sny wiekuiste bez pajaków.
Też z poematu "Miasto bez imienia". `ty 6 `ty Zachodzi słońce nad łoża
Gorliwego Litwina I jeszcze ognie na malowanych z natury portretach roznieca.
Tam sosnę objęła Wilija, czarne miody niesie Żejmiana, Mereczanka śpi z
jagodami koło Zegaryna. A już tebańskie świeczniki lokaje wnieśli I na oknach
zasuwali za zasłoną zasłonę. A kiedy zdejmując rękawice pomyślałem że wszedłem
pierwszy, Zobaczyłem że wszystkie oczy są na mnie zwrócone. Też z poematu
"Miasto bez imienia". `ty 7 `ty Kiedy żalu się pozbyłem I chwały, którą
goniłem, Tego, czym nigdy nie byłem. Nad kraje, góry, zatoki Niosły mnie
gryfy i smoki, Przypadki albo wyroki. No tak, być sobą chciałem. Do luster
pijając płakałem, Swoje głupstwo tak poznałem. Z paznokci, śluzowej błony,
Kiszek i płuc i śledziony Czyj dom będzie uczyniony? Swoją własną a jeden z
wielu Nie mam w sobie przyjaciela, Czas mnie na dwoje rozdziela. Zaśnieżone
monumenty, Niech dar mój będzie przyjęty, Wędrowałem, nie wiem kędy.
Berkeley, 1965 Poemat "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" był napisany
w Kalifornii w latach siedemdziesiątych. Wydany drukiem został w 1974. Jest to
utwór bardzo skomplikowany, składający się z wierszy i fragmentów prozy,
kronik. Dzieli się na części. Pierwsza część nazywa się "Posłuchanie", to jest
rodzaj wprowadzenia, druga część "Pamiętnik naturalisty" - bardzo dużo tutaj
jest o przyrodzie i o moich zainteresowaniach, kiedy byłem dzieckiem. Trzecia
"Lauda"; dotyczy to ściśle kraju mojego pochodzenia, a więc powiatu
kiejdańskiego, na Litwie, i Laudy. Czwarta część "Nad miastami", piąta "Mała
pauza"; szósta "Oskarżyciel" i siódma "Dzwony w zimie". Ze względu na brak
miejsca muszę ograniczyć się do czytania fragmentów tego poematu. Z części
drugiej, która nosi tytuł "Pamiętnik naturalisty". Gdzie wschodzi słońce i
kędy zapada II. Pamiętnik naturalisty [...] Po czterolistną
koniczynę łąkami o świcie, Po dwójorzec w głęboki las. Tam wróżyło się nam
wielkie życie I czekało, choć nie było nas. Dąb nasz ojciec, szorstkie jego
ramię. Siostra brzoza szeptem prowadziła. Coraz dalej szliśmy na spotkanie Wody
żywej, z której wszelka siła. Aż wędrując głuchym czarnym borem Cały długi
dzień młodego lata, U wód jasnych staniemy wieczorem Gdzie król bobrów
przeprawami włada żegnaj przyrodę żegnaj przyrodę Lecieliśmy nad pasmem
skalnośnieźnych gór I o duszę kondora rzucaliśmy kości. - Czy ułaskawimy
kondora? - Nie ułaskawimy kondora. Ginie, bo nigdy nie jadł z drzewa
wiadomości. W parku nad rzeką niedźwiedź zastąpił nam drogę I wyciągając łapę
poprosił o wsparcie. - Więc to przed nim zbłąkani podróżni truchleli? - Dajmy
mu flaszkę piwa, niech się rozweseli. Kiedyś miał w swoich dworach miodu pełne
barcie. Zgrabnie sadył skokami przez trakt asfaltowy I znów mieliśmy w
światłach las od deszczu mglisty. - Wyglądał na kugara. - To by się zgadzało.
Jeżeli są, to właśnie tu, według statystyk. żegnaj przyrodę żegnaj przyrodę

`cp2 [...] Alpejska gwiazda spadająca, Alpine Shootingstar (Dodecatheon alpinum) Rośnie w górskich lasach nad Rogue River. Która to rzeka, w południowym Oregonie, Ze względu na jej skaliste, trudno dostępne brzegi Jest rzeką rybaków i myśliwych. Czarny niedźwiedź i kugar Dotychczas dość obfity na tamtejszych stokach. Roślinę tak nazwano bo różowoliliowe kwiaty Zwracają ostrze ku ziemi, ukośnie, pod wiązką płatków, Co razem przypomina gwiazdę z ilustracji Dziewiętnastego wieku, wlokącą cienki snop linii. Rzece nazwę nadali francuscy traperzy Kiedy któryś z nich trafił w indiańskie zasadzki. Odtąd była to dla nich La Riviere des Coquins, Rzeka Hultajska, skąd Rogue w tłumaczeniu. Siedziałem nad jej nurtem głośnym i pienistym Ciskając kamyki i myśląc, że jakie miał imię Ten kwiat w języku Indian nie będzie wiadome, Jak nie będzie wiadome imię, rodzinne, ich rzeki, W każdej rzeczy powinno być zawarte słowo. Ale nie jest. I cóż tu moje powołanie. `cp2 Teologia i nauki przyrodnicze są w jakimś związku ze sobą i tu jest zupełnie innego rodzaju fragment, nie dotyczący przyrody. `cp2 Pewnie dlatego pielgrzymowałem. Którędy, odgadną ci, którzy na przykład Zwiedziwszy groty koło Les Eyzies, Stając na popas być może w Sarlat (Jak mój biedniaczka Alik nazywał, priwał, Jechali stamtąd droga na Souillac, Gdzie płaskorzeźba w romańskim portalu Opowiada przygody mnicha Teofila Z Adany w Cylicji, a prorok Izajasz Osiem stuleci trwa w gwałtownym ruchu Jakby targał strunami niewidocznej harfy I dalej, w kręte kotliny, aż pojawi się Wysoko, wysoko, ten klejnot patników, Tak upragniony jak w chłopięctwie naszym Gniazdo na szczycie jodły: Roc Amadour. A zresztą nie nalegam. Trakt do Composteli Albo do Jasnej Góry nie gorzej pouczy Dążenie i mijanie. Tutaj głąz omszały Biegnie i wyraźniej za każdym zakrętem, Po czym znika w oddali. Tam znów błysnie rzeka Spoza drzew i łuk mostu. Niemniej pamiętajmy, Nie zatrzyma nas widok ani zimorodek Zszywający dwa brzegi jasną włóczką lotu, Ani na wieży panna, choć uśmiechem wabi I oczy nam zawiąże prowadząc w pokoje. Cierpliwy byłem pielgrzym. Więc miesiąc i rok Na kiju karbowałem, bo do celu zbliża. Tylko że kiedy wreszcie po latach doszedłem Zdarzyło się, co, myślę, znane niejednemu Jeżeli na parkingu przy Roc Amadour Znalazł miejsce i stopnie do górnej kaplicy Rachował, aż zrozumiał, że to właśnie tu: Bo drewnianą Madonnę z dzieciątkiem w koronie Ogląda tłum ospałych amatorów sztuki. Tak i ja. Już nie dalej. Góry i doliny Przebyte. Ognie. Wody. I niewierna pamięć. Pasja ta sama choć wezwania znikąd. I tylko w zaprzeczeniu dom swój miała świętość. Tu jest część poematu zatytułowana "Lauda"; i to w dużym stopniu jest jednakże sprawa pamięci, przypomnienia. III. Lauda [...] Nie, nie powinno być tutaj przestrzeni. Ale mówię do was i wy przede mną W słońcu jakby podobnym, W nocy prawie tej samej I nawet kropla deszczu toczy się jak tam. Inna ta przestrzeń. Króle witają, Z ulic pasterze śpiewają, Lwy pod arkadą klękają, Cuda ogłaszają. I my zamknięci w bursztynie, z trąbkami, wiolami, Biegniemy, śpiewamy, wychwalamy życie minione Za to, że to co było widzimy bez bólu. Tutaj też z części poematu "Lauda" "Piosenka wielkopostna". Piosenka wielkopostna Ręce moje zamknięte, Nogi snem owładnięte, Wzrok i słuch już nie kłamią, Smak, dotyk, węch nie łakomią. Nie ma daleko ni blisko. Wielkie i małe wszystko. Długo biegłem po ziemi, Ziemskich zaznałem płomieni, Innych osadzający, O sobie nic nie wiedzący, Z żalem i nawet rozpaczą Ze nie wiem co znaki znaczą, Ze zbudzonemu wśród nocy Słowa nie dają pomocy. Lustra, na płótnach cienie, Całe moje widzenie. Twarz moja niby pocziwa Ale jej zaraz ubywa, Buchnęło światło i zgasło Nad ciemną miłością własną. "Piosenka zamorska" tak samo z tej części poematu pod tytułem "Luda". Bardzo samodrwiący, samoironiczny wiersz. Oglądanie własnego pisania w języku polskim, kiedy nikomu zdawało się to być niepotrzebne. Pisałem to oczywiście bardzo daleko, nad Pacyfikiem. Piosenka zamorska W jednym z mniej znanych afrykańskich narzeczy Powstało moje dzieło. Nawet Boska Komedia, i ta tylko śmieszny Jeżeli plemię zniknęło. W cywilizację porwany na ładach plamistych, Między łuski morskiego smoka, Siebie też oglądałem jak chmury i wyspy Z daleka, tudzież z wysoka. Spełnia się co ma spełnić, choć i

niezupełnie. Innych może chciał zasług ten uczeń wileński. Kto mało zyskał, temu się odejmie. Nieważny będzie triumf i niegłośne klęski. Lepsi ode mnie dobrać próbowali głosu. Ich imię trawy opłotły Sam zostałem filtrując porządek z chaosu Bo umysł miałem przewrotny. Nade mną co dzień orły późnego cesarstwa. Prowincja pali się, planeta ginie. Dla nieszczęśliwych blask ten, wulkaniczna warstwa Na niewiadomej przyczynie. Kto mnie potępi jeżeli ojczyzny I tu i nigdzie szukałem, Myląc dialekty, prowincjonalizmy Z oceanowym chorałem? Ten przezroczystry kamyk na dłoni, My w nim i dzwonki z kapelą, I pieśń i goście w taneczku dostojni Wiecznie nas odtąd wesela. Część poematu "Nad miastami" - scena wiejska z pewnym głębokim sensem filozoficznym. IV. Nad miastami `ty 5 `ty Życie niemożliwe ale było znoszone. Pierwszy wypęd bydła na wiosnę. Teraz mnie język zawodzi I nie wiem jak nazwać miedzę grodzoną żerdziami Od ostatnich domów wioski pod sam las. (Zawsze tych słów brakowało i nie byłem właściwie poetą Jeżeli jest poeta komu słowo sprawia przyjemność). Więc starszy pastuch, skierdź, i torby jego I chodaki z rzemieniem i najdłuższe biczysko. Jak też dwóch niedorostków Jeden ma trąbę brzozową, Drugi skądś wywlókl sznurkiem związany pistolet. Rzeczywiście widziani. Koło Szyrwint albo Grynkiszek. Zanim jeszcze wstąpiłem do mego klasztoru, W światło nad zawsze jasną kolumną z piaskowca Takie same dotychczas jak za frankońskich królów, Bo chciałem zapracować na dzień zrozumienia Czy choćby na sekund, kiedy objawia się Również ci trzej w jedyności swojej. Ciągłe jesteśmy w poemacie "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" - rozdział "Mała pauza". V. Mała pauza `ty 2 `ty - Dostojny wędrowcze, skąd przybywasz do nas? - Moja stolica w kotlinie wśród pagórków leśnych, Z warownym zamkiem u zbiegu dwóch rzek, Ze swoich świątyń ozdobnych słynęła: Kościołów, cerkwi, synagog, meczetów Kraj nasz uprawiał żyto i len, jak też spławiał drzewo. Armia nasza składała się Z pułku ułanów, z pułku tatarskiej jazdy i z pułku dragonów Znaczkę pocztowe naszego państwa Przedstawiały fantazmata Wyrzeźbione niegdyś przez dwóch artystów, Przyjaciół albo wrogów, Pietro i Giovanni. W szkołach naszych uczono dogmatyki, Apologetyki, sentencji z Talmudu i z Tytusa Liwiusza. Arystoteles był ceniony Choć bardziej wyścigi w workach i skakanie przez ogień W wieczór świętego Jana. - Dostojny wędrowcze, z którego jesteś eonu? - Z komicznego. Zapomniana jest bowiem groza. Tylko śmieszność zostaje dla zbudowania potomnych. Śmierć od rany, z uduszenia, z głodu jest jedną śmiercią Ale błazeństwo sute i co roku nowe. Brałem udział, wiązałem krawaty Nie wiem czemu, i tańczyłem tańce nie wiem czemu. Klient, nabywca swetrów i pomady do włosów, Naśladowca, nieśmiały bywalec, Frant przejęty swoim odbiciem w witrynie. Podrzędny był mój wiek i rozum podrzędny. Kora nieświadomości zarastała mnie. Próbowałem zgadnąć inną ziemię i nie mogłem. Próbowałem zgadnąć inne niebo i nie mogłem. Jak widać, ten poemat "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" obejmuje wiele doświadczeń i wiele krajów, bardzo prymitywnych i bardzo skomplikowanych, bardzo zaawansowanych cywilizacyjnie. `ty 6 `ty A było święto w Megalopolis. Ruch na ulicy zamknięty i procesja. Powoli przesuwali się posąg boga: Phallus wysokości czterech pięt Otoczony tłumem miotających się w tańcu kapłanek i kapłanów Także w chrześcijańskich kościołach odprawiano się nabożeństwo, Którego liturgia polegała na dyskusji Pod przewodnictwem księdza w wielkanocnej szacie o tym, czy da się wierzyć w życie po śmierci, Co rozstrzygano przez głosowanie. Udałem się tedy na wieczorną party Do szklanego domu na zboczu góry, Skąd milcząc oglądali krajobraz planety: Iskrząca się równinę z metalu czy soli, Żłobione erozjami piołunowe łądy, Białe obserwatoria daleko u szczytu. W kardynalskiej czerwieni zachodziło słońce. Po strzałach, po goryczach, po pieśniach, po płaczach Nie mnie targać bandażę i łamać pieczęcie. Jeżeli dzieckiem byłem nieświadomym I głosy tylko przeze mnie mówiły? Któż wie do czego przeznaczenia służą I jeden raz na ziemi to mało Czy dużo. Rozdział zatytułowany "Dzwony w zimie". Są tutaj dosyć dziwne referencje, dlatego że ten fragment, który przeczytam, dotyczy podróży z Polski do Siedmiogrodu, które odbywali polscy arianie, czyli antytrynitarianie, w XVI

wieku. VII. Dzwony w zimie Kiedy jechałem zza gór Siedmiogrodu Przez bory, puszcze, karpatne zwaliska, I raz pod wieczór, stanąwszy u brodu (Żem był wysłany sam od towarzystwa Dla dróg szukania), puściłem na trawę Konia mego i dobyłem z troków Księgę Przymierza, to tak mi łaskawe Zdały się zorze i szумы potoków, Że schylonemu nad Listy Pawłowe I pierwszą gwiazdę w niebie widzącemu Sen mocny z wolna ukołysał głowę. Młodzieniec w greckiej bogatej odzieży Ramienia mego dotknął i powiadał: "Czas dla śmiertelnych jako woda bieżą, Jam jego otchłań aż do dna przebadał. Mnie to w Koryncie srogi Paweł gromił Za to że ojcu memu żonę wziętem. Mnie to na zawsze wieczerzać zabronił Pospólnie z nimi za braterskim stołem. Odtąd nie byłem w świętych zgromadzeniu I grzeszna miłość wiodła mnie przez lata Do biednej łątki wydanej skuszeniu Aby się wieczna spełniła zatrata. Ale mnie wyrwał z prochu błyskawicą Pan mój i Bóg mój, którego nie znałem. Za nic się jemu wasze prawdy liczą. On miłosierdzie ma nad wszystkim ciałem". Pod wielkim niebem gwiazdzistym ockniony, Niespodziewanej doznawszy pomocy, Zbywając troski o żywot nasz płony, Chustką wytarłem zwilgłe od łez oczy. Ten fragment usprawiedliwia tytuł rozdziału "Dzwony w zimie"; bo dotyczy dzwonów w mieście Wilnie, w zimie. Jeden zatem poranek. Bierze ostry mróz. Mży chłodem. W tej sennej szarej mgle Nasyca się obszar powietrza światłem purpurowym, Różowieją zwały śniegu, jezdnie wyslizgane płożą, Dymy, kłęby pary. Saneczki dzyń-dzyń To bliżej, to dalej. Włochatym konikom Szerść oszroniała, każdy włos osobno. A wtedy dzwony U Świętego Jana, U Bernardynów, u Świętego Kaźmierza, I w Katedrze i u Misjonarzy, U Świętego Jerzego, u Dominikanów, U Świętego Mikołaja, u Świętego Jakuba. Dużo dzwonów Jakby ręce ciągnąc za sznury Uroczysty gmach nad miastem budowały Żeby szła owinięta chustką na ranną mszę Alżbieta. Długo pewnie myślałem o życiu Alżbiety. Mógłbym policzyć lata. Ale wolę nie. Cóż lata, jeżeli widzę śnieg i jej bućki, Śmieszne, spiczaste, zapinane z boku. A ja ten sam, choć zaczyna się i kończy się Pycha ciała. Tłumaczyłem z różnych języków, głównie z francuskiego i z angielskiego. Ten wiersz Charlesa Baudelaire'a "Balkon" był przetłumaczony w Wilnie przed II wojną światową. Charles Baudelaire (1821-1867) Balkon Matko wspomnienia, kochanie kochania, Ty, wszystkie moje więzy i wszystkie rozkosze! Pieszczoty piękność przypomnisz, oto się odsłania Cisza domu, wieczorów uroki najśodsze, Matko wspomnienia, kochanie kochania! Wieczory rozjaśnione węgli tłących żarem I wieczory w różowych dymach, na balkonie. Jakże dobra pierś twoja! Serce jakim darem! Słowa, które nie giną, mówiliśmy sobie W wieczory rozjaśnione węgli tłących żarem. Jakże piękne są słońca w te ciepłe wieczory! Przestrzeń jaka głęboka! W sercu jaka siła! Chyliłem się ku tobie, wielbiona z wielbionych, Wdychałem zapach krwi, co twarz twoją paliła. Jakże piękne są słońca w te ciepłe wieczory! Noc gęstniała powoli, niby ściana ciemna, I moje oczy źrenic twych w czerni szukały, I piłem oddech twój, słodczy trucizn pełna, I twoje stopy w dłoniach mych braterskich spały. Noc gęstniała powoli, niby ściana ciemna. Znam sztukę i szczęśliwe chwile znowu wskrzeszę, Przeszłość u twoich kolan zamkniętą widziałem, Bo gdzież jest radość równa bolesnej uciecze, Jaka ty swoim drogim nasyciałaś ciałem? Znam sztukę i szczęśliwe chwile znowu wskrzeszę! Te szepty, pocałunki, przysięgi natchnione, Z przepaści, w którą wejrzeć nie śmie nikt, czy wstaną. Jak wznoszą się na niebo słońca odmłodzone, Obmyte w głębi mórz, zbryzgane słońca pianą? O szepty! pocałunki! przysięgi natchnione! Tomasz Traherne, poeta angielski XVII wieku, długo był zapomniany, dopiero w XX wieku został odkryty. Przetłumaczyłem jego trzy krótkie wiersze z "Wierszy o szczęśliwości" czy "Poematów o szczęśliwości". Wtedy jeszcze nie znałem dobrze angielskiego, miałem równoległy przekład francuski. To było przed wojnę jeszcze. Tak że to chyba pierwsze moje wiersze tłumaczone z angielskiego. "Wiersze o szczęśliwości" Traherne'a to jest głównie o szczęściu dzieciństwa i o szczęściu, kiedy nawet jest się dorosłym, kiedy potrafi się człowiek cieszyć jak dziecko z różnych rzeczy. Thomas Traherne (1637-1674) Z | Wierszy o szczęśliwości Powitanie Członeczki moje

małe, Radości pierwsze, Serce bijące, które tu dostałem, Wy, moje oczy i usta, i ręce, Gdzież byliście tak długo, za jaką zasłoną? W jakiej otchłani mój język znaleziono? Kiedy milczący Przez wiele tysięcy lat, W pyłe chaosu miałem pomieszkanie, że są łzy i uśmiechy, jakże bym to zgadł, Skąd wiedzieć mogłem, że mnie się ten skarb Rąk, ust i oczu na własność dostanie? Ja, co tak długo Spałem w kolebce wieków do tej chwili, Nie mogłem wiedzieć, że taką rozkoszą Będą tu dla mnie mój język i słuch, że dźwięki usłyszę, dotknę rąk i nóg, A ludzie w towarzystwo swoje mnie zaproszą. Radości błyskawico! Nad złoto i perły ten dat jest bogaty! Święta jest dziecinne ciało tajemnicą, Bo w nim są przystrojone dla ducha komnaty. Jak misterne wiązania, jak subtelne żyły! Wnętrza ziemi klejnotów takich nie nosiły. Z prochu powstałem, Z nicości mnie przywołano. Jasne moje dziedziny wzrokiem przywitałem, Z rąk Boga wziąłem drogocenne wiano: Ziemia, morze i światło, którym gwiazdy błyszczą, Słońce i księżyc, moje dziś to wszystko. Przybysz z daleka, Dziwny splendor dotykam i wzrokiem poznaję, Dziwny blask wszystkie rzeczy koło mnie obleka I dziwnie doskonałym świat mi się wydaje. Lecz dziw, którego nie ogarnie słowo: Ze choć nie było mnie, dziś jestem sobą. Thomas Traherne | Powrót W dzieciństwa raj, o Panie, idę znów, Aby w czystości trwał mój męski wiek, W kołysce będę, otuli mnie puch, Matczyny oddech od zła mnie będzie strzegł I wrócę przez ogniste kręgi lat, Mądry jak wtedy, nim grzech na mnie spadł. Dopóki co dzień w boleści przemagam Pokusy głos, ten jest szczęśliwy, wiem, Kto dzieckiem został. Więc skrzydła rozkładam I lecę w łono matki, w nieskażony sen. Już od maluczkich Los mnie nie oddzieli. Bezpieczny od pamięci, spocznę w bieli. Trzecia część wierszy Traherne'a o szczęśliwości jest to śmierć, nazywa się "Przygotowania". Thomas Traherne | Przygotowania Ciało moje umarłe, członki nieznajome, Zanim poznałem, czym tu dla mnie są Te gwiazdy żywe oczu moich. Nim nazwałem Mój język i moje policzki moimi, Zanim te ręce moimi rękami się stały, Nim policzyłem belki mojej cielesnej powały. Kiedy i nozdrza, i stopa, i oko, Władz pozbawione, znały tylko mrok, Zwiedzałem nowy tajemniczy dom, żyjąc okryty obcą mi powłoką. Wtedy nie miałem nic prócz duszy mojej. Jej oko trwało żywe wiecznie, Wszystkowidzące pod niebieskim stropem. Jego istotą i czynem, i darem Było: oglądać. A ja już bezpiecznie Leżałem, sfera wewnętrznego lśnienia, Nie zakreślony niczym krąg widzenia Wzniesiony ponad bieg dni i bieg nocy I słońcem byłem, potokiem promieni, Polem bez granic, nie przeciętym miedzą, I tylko naga, prosta, czysta wiedzą. Wiersz Oskara Miłosza "Symfonia listopadowa" napisana, przypuszczam, w okolicach roku 1913. Oskar Miłosz (1877-1939) | Symfonia listopadowa To będzie zupełnie, jak w tym życiu było. Ten sam pokój - Tak, moje dziecko, ten sam. O świcie, ptak czasów w listowiu Bładym jak umarła: wtedy służące wstają I słyszy się mroźny, głuchy brzęk wiader U fontanny. O straszna, straszna młodości! Serce puste! To będzie zupełnie, jak w tym życiu było. Nadejdą Biedne zimowe głosy zestarych przedmieści, Szklarz ze swoją powtarzającą się piosenką, Babunia przełamana, która spod brudnej chustki Wykrzykuje nazwy ryb, mężczyzna w niebieskim fartuchu, Który pluje w zużyta od dźwigania rękę I wrzeszczy nie wiadomo co, jak Anioł Sądu. To będzie zupełnie, jak w tym życiu było. Ten sam stół, Biblia, Goethe, atrament i jego zapach przeszłości, Papier, biała kobieta, która w myśli czyta, I pióro, i portret. Moje dziecko, moje dziecko. To będzie zupełnie, jak w tym życiu było! Ten sam ogród Głęboki, głęboki, gęsty, ciemny I w południe Uciesza się ludzie, że tu się zbrali, Ludzie ubodzy, nawzajem nieznani, ci, co nie wiedzą Jedni o drugich, jak tylko to, że ubrać się trzeba Jak na święto i iść, iść w głąb nocy, Samotnie, w zagubieniu, bez lampy i bez miłości. To będzie zupełnie, jak w tym życiu było. Ta sama aleja: I (w popołudnie jesienne) na zakręcie alei, Tam, gdzie piękna droga schodzi trwożliwie jak kobieta Zbierająca ostatnie kwiaty - słuchaj, dziecko - Spotkamy się, jak kiedyś, tu. A ty zapomniałaś kolor tamtej swojej sukni, Ale ja chwil szczęśliwych poznałem niewiele. Ty będziesz ubrana w blady fiolet, piękny żalu! Kwiaty twojego kapelusza będą

smutne i małe, A ja nie będę wiedział ich nazwy: bo w moim życiu znałem Jeden tylko kwiat, niezabudkę, dziwne ziele, Co śpi w ciemnych dolinach, w kraju Zabawa w Chowane, Daleko, daleko. Tak, serce, tak, studnio! Jak w tym życiu było. I ścieżka cienista będzie tam, wilgotna Od echa strumieni. I opowiem tobie O mieście na wodzie i o rabbim z Bacharach, I o nocach florenckich. I jeszcze tam stanie Walący się, niski mur, gdzie drzemał w żałobie Zapach dawnych, dawnych deszczów i trędownata trawa, Zimna i tłusta, pryśnie szorstkimi kwiatami Na niemy potok. Z Williama Szekspira sztuki "Jak wam się podoba", którą przetłumaczyłem w czasie wojny, w Warszawie, na zamówienie Podziemnej Rady Teatralnej. Piosenka. William Szekspir (1564-1616) Ń Z |Jak wam się podoba Akt drugi, scena piąta Kto lubi w zielonej Odpocząć gęstwinie, Kto pieśnią wesołą Z ptakami popłynie, Niech przyjdzie, niech rękę nam poda. Gdy wejdiesz w te kraje, Twój smutek ustaje Jak wicher i zła pogoda. Kto sławy unika, Za słońcem kto goni, Kto skarby odkrywa Na leśnej jabłoni, Niech przyjdzie, niech rękę nam poda. Gdy wejdiesz w te kraje, Twój smutek ustaje Jak wicher i zła pogoda. Kto gardząc wygodą Zamieni się w osła, Kto rad, że głupota W ten las go zanosła, Dukdame, dukdame, dukdame, Gdy wejdzie w te kraje, Swych braci poznaje: To osły jak on takie same. `cp2 Z tej samej sztuki pieśń myśliwska. Akt czwarty, scena druga Kto zabił jelenia - cóż od nas dostanie? Dostanie skórę, dostanie rogi I pieśń myśliwska na pożegnanie: Hej rogi, rogi, hej tęgie rogi, Nie wstydz się rogów, bracie nasz drogi, Rogi, rogi, niech żyją nam! Miał rogi ojciec twój, miał dziad, Bo rogi stare są jak świat: Hej rogi, rogi, hej tęgie rogi, Nie wstydz się rogów, bracie nasz drogi, Rogi, rogi, niech żyją nam! `cp2 I jeszcze jedna pieśń ze sztuki "Jak wam się podoba" Szekspira. Akt piąty, scena trzecia Szedł chłopiec ze swoją dziewczyną, A hej, a ho, a hej noni no, Szli piękną zieloną doliną, Wiosenny czas, weselny był czas, Gdy ptaków śpiew brzmi - la la, li li li: To wiosna kochanków tak wita. I między zielone zbóż kłosa, A hej, a ho, a hej noni no, Upadli nie bojąc się rosy, Wiosenny czas, weselny był czas, Gdy ptaków śpiew brzmi - la la, li li li: To wiosna kochanków tak wita. Piosenkę zaczęli za chwilę, A hej, a ho, a hej noni no, Bo kwiatem jest życie, i tyle, Wiosenny czas, weselny był czas, Gdy ptaków śpiew brzmi - la la, li li li: I wiosna kochanków tak wita. Więc gońcie tę chwilę, bo minie, A hej, a ho, a hej noni no, Bo miłość tej wiosnie na imię. Wiosenny czas, weselny był czas, Gdy ptaków śpiew brzmi - la la, li li li: To wiosna kochanków tak wita. Z poematu T.S. Eliota "Ziemia falowa" fragment. Ten poemat przetłumaczyłem podczas wojny, nauczywszy się wtedy angielskiego. Thomas Stearns Eliot (1888-1965) Ń Z poematu |Ziemia jałowa O fioletowej godzinie, gdy oczy i plecy Podnoszą się znad biurka, a ludzka maszyna Czeka jak taxi drżące niecierpliwie, Ja, Tejrezjasz, dwa życia znający, choć ślepy, Widzieć mogę, ja, starzec o piersiach kobiecych, Jak do domów unosi wieczorna godzina I marynarza z niespokojnych mór, I maszynistkę o herbatniej porze. Ona sprząta śniadanie i rozpala już Piecyk, konserwy z puszki wygrzebuje nożem. Z okna zwieszono niebezpiecznie, schną Jej kombinacje w ciepłe ostatnich promieni, A na tapczanie zmieszają się pstro Jej pantofle, pończochy, pasy i gorsety Ja, Tejrezjasz, starzec o wymionach zmiętych, Pojąłem scenę i resztę odgadłem - Czekałem, aż się zjawi gość niezbędny. Oto i on, młodzieniec krościasty, przybywa, Drobną urzędnik. Zuchwale spoziera. Pewność siebie tak gładko całego okrywa Jak cylinder jedwabny czoło milionera. Jak przewiduje, pora jest dogodna, Skończyła jeść i siedzi zmęczona, znudzona, I choć pieszczotom bez chęci się podda, Obojętne, nie bronią pieszczot jej ramiona. Gwałtowny, nagły, atakuje śmiało, Błędząca ręka nie spotka obrony, Co ona czuje, obchodzi go mało I cieszy się, że nie jest odtracony, (I ja, Tejrezjasz, znam to wszystko, znam, Co się rozgrywa tu, na tym tapczanie, Ja, którym siedział u tebańskich bram, Któremu zmarli ślali powitanie.) Jeszcze ostatni pocałunek w czoło, Stąpa ostrożnie, bo schody są ciemne... Ona przegląda się w lustrze pod światło Nie wiedząc dobrze, był czy go nie było. I słyszy w sobie jedną

myśl bezładną: "Dobrze, że już, wreszcie się skończyło." Piękna kobieta, gdy się zapomina I potem sama bada myśli skryte, Leniwą ręką włos ciężki upina I na gramofon kładzie nową płytę.

Fragment z "Raju utraconego" Johna Milтона, "Szatan urągający". Ten fragment z Milтона miał w XX wieku pewne odniesienia aktualne.

John Milton (1608-1674) Z Raju utraconego, Ks. I Szatan urągający "Więc w tej otchłani, więc to w tej krainie?" - Upadły rzekł archanioł. - "Więc to tu Nasze siedlisko nowe, a nie w Niebie? Tutaj, w ponurym mroku, a nie w blasku Niebiańskim? Niechże tak będzie, gdy on, Który jest panem dzisiaj, rozkazuje, Co ma być słuszne, a co słuszne nie jest.

Lepiej, że dalej od niego. Rozumem Nie jest on wyższy nad inne istoty Siła go wzniosła ponad równych jemu. Żegnajcie, pola szczęśliwe, gdzie radość Przez wieki mieszka. Witaj, grozo, witaj, Podziemny świecie! Ty, najgłębsze piekło, Nowego władcę przyjmij, co ma umysł Nie ujarzmiony przez miejsce ni czas. Umysł jest sobie światem i sam zdoła Z Piekła uczynić Niebo, z Nieba Piekło. Gdzie - wszystko jedno, byle sobą zostać. Kimże być mogę ja, który nie jestem Niższy od niego, choć jemu pioruny Dały potęgę? A tutaj przynajmniej Będziemy wolni. Wszchemocny budował Ten kraj nie po to, by zazdrościł. Stąd Nie wygna już, tu królestwo nasze. Warto panować w Piekło nawet. Lepiej Panować w Piekło niż sługą być w Niebie."

Przekład z poety Nuchima Bomse, piszącego w jidysz; urodził się w 1906, zmarł w 1954, pochodził z małego miasteczka Sasów koło Lwowa, zmarł w Nowym Jorku.

Nuchim Bomse (1906-1954) Modlitwa mojej matki przed zmrokiem Niech twoje światło, Panie, tylko dniowi świeci A tylko ciemność zachowaj dla nocy Niech moja suknia ubogiej kobiety Spokojnie leży na ławeczce w nocy. Niechaj w klasztorze umilkną już dzwony, Mój sąsiad Iwan niech ich nie kołysze, Niech nocny wiatr odejdzie w inne strony, Żeby dzieciom w kołyskach było jak najciszej. Niech kury śpią na grzędach, w stajniach konie Pośrodku ciemnej nocy Kamień sprzed nogi złodziejowi odejm, Żeby nie upadł idąc w ciemnej nocy. Napełnij niebo w ciemnej nocy ciszą, Błyskawice powściągnij, przytłum gromy, Niechaj rodzące matki ich nie słyszą. Niech nikt nie będzie i w myśli skrzywdzony. Uchroń od grozy ptaki w czas noclegu Na wysokim drzewie w dzikim lesie. I wód ryczących nie wypuszczaj z brzegów Niech rzeka w nocy kładek nie uniesie. Mnie samą chroń od wody, błyskawicy, Przeciw ogniewi bądź mi ku pomocy, Niech moja suknia ubogiej kobiety Spokojnie leży na ławeczce w nocy. (z jidysz)

William Butler Yeats, jego wiersze tłumaczyłem, mieszkając we Francji, w Mongeron. Yeats był znanym poetą Irlandii.

William Butler Yeats (1865-1939) Odjazd do Bizancjum `ty I `ty To nie jest kraj dla starych ludzi. Między drzewa Młodzi idą w uścisku, ptak leci w zieleni, Generacje śmiertelne, a każda z nich śpiewa, Skoki łososi, w morzach ławice makreli. Całe lato wysławiać będą chóry ziemi Wszystko, co jest poczęte, rodzi się, umiera. Nikt nie dba, tą zmysłową muzyką objęty, O intelekt i trwałe jego monumenty. `ty II `ty Nędzną rzeczą jest człowiek na starość, nie więcej Niż łachmanem wiszącym na kiju, i chyba Że dusza pieśni składać umie, kłaśnie w ręce, A od cielesnych zniszczeń pieśni jej przybywa. Tej wiedzy w żadnej szkole śpiewu nie nabędzie, W pomnikach własnej chwały tylko ją odkrywa, Dlatego ja morzami żeglując przybyłem Do świętego miasta Bizancjum. `ty III `ty O mędrco, gorejący w świętym boskim ogniu Jak na mozaice u ścian pełnych złota, Wyjdźcie z płomienia, co żarem was obłócił, Nauczcie, jak mam śpiewać, podyktujcie słowa.

Przepalcie moje serce. Chore jest, pożąda, I kiedy zwierzę z nim spętane kona, Serce nic nie pojmuje. Zabierzcie mnie z wami W wieczność, którą kunsztownie zmyśliliście sami. `ty IV `ty A kiedy za natury krainą już będę, Nigdy formy z natury wziętej nie przybiorę. Jak u greckich złotników tak formę wyprzedę Wplatających w emalię liść i złotą korę, Ażeby senny Cesarz budził się ze dworem, Albo tę, jaką w złotej wykuli gęstwinie, Żeby śpiewała panom i damom Bizancjum O tym, co już minęło czy mija, czy minie.

Wiersz poety angielskiego Wystan H. Audena przetłumaczony przeze mnie również wtedy, kiedy mieszkałem w Mongeron we Francji.

Wystan Hugh Auden (1907-1973)

skrzydła. Słońce już zaszło, cofnęła się woda z obrosłych glonem skał, daleko jest ciemny przybój. Odpływ szeleści, w opalowej wodzie długie cienie chmur. W szparach kurtyny świata bladozłote błyski i wieczorna Gwiazda przesuwają się nagle jak zapalona pochodnia. Jakby nie nasze oczy miały ją oglądać; próbując rolę Tam, za kurtyną, w tragedii dla innych widzów. Konstanty Kawafis (1863-1933) Czekając na barbarzyńców Na co czekamy, zebrani na placu rynkowym? Barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj. Czemu nic prawie nie robi się w Senacie? Czemu senatorowie siedzą i nie obradują? Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj. Po cóż by mieli senatorowie martwić się prawami? Barbarzyńcy, skoro nadejdą, podyktują prawa. Czemu nasz cesarz wstał tak wcześnie i czemu zasiadł u głównej bramy miasta na tronie, w uroczystym stroju i w koronie? Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj. I cesarz czeka, aby przywitać ich wodza. Przygotował nawet pergamin dla niego. Nadaje mu w nim wiele godności i tytułów Czemu nasi konsulowie i pretorzy chodzą dzisiaj w szkarłatnych, wyszywanych togach? Czemu noszą bransolety z mnóstwem ametystów i pierścienie jaśniejące szmaragdami? Czemu wzięli dziś swoje drogocenne laski wspaniale wykładane srebrem i złotem? Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj. A takie rzeczy olśniewają barbarzyńców Czemuż to nasi szlachetni oratorzy nie wystąpią jak zwykle, nie wygłoszą mów? Ponieważ barbarzyńcy nadejść mają dzisiaj. A nudzi ich krasomówstwo i publiczna dysputa. Co znaczy ten nagły niepokój, to zamieszanie (jakże spoważniały twarze!)? Czemu ulice i place raptem pustoszeją i każdy wraca do domu tak zamyślony? Ponieważ jest noc, a barbarzyńcy nie nadchodzą. A nawet przybył ktoś spod samej granicy I mówi, że tam już nie ma żadnych barbarzyńców. Teraz, bez barbarzyńców, co z nami będzie? Ci ludzie to było jakby rozwiązanie. Tomasz Merton, zakonnik trapista z klasztoru Gethsemani w stanie Kentucky, był moim przyjacielem, istnieje nasza korespondencja, nawet ogłoszona. Merton był poetą, ogłosił sporo swoich wierszy i napisał między innymi ten wiersz "Elegia dla Ernesta Hemingwaya" na wiadomość o śmierci samobójczej Hemingwaya. Thomas Merton (1915-1968) Elegia dla Ernesta Hemingwaya Teraz pierwszy raz, w noc twojej śmierci, imię twoje wymawiają zakonnicy, ne cadas in obscurum. Teraz koniec twoich dzieł obwieścił prawdziwy dzwon. I ludzie klasztorni, ludzie mszy żałobnych, oswojeni z umarłymi włączają ciebie w swoje nabożeństwa. Ty stoisz anonimowy, z tysiącami, czekając na ciemnych i wielkich stacjach u brzegu krain znanych tylko modlitwie, gdzie nie są bezlitosne, miejmy nadzieję, ognie, ani bez końca. Szybko przechodzisz pośród nas. Do twoich pism, twoich książek nie zaglądano. Modlimy się pro defuncto N. Jednak niektórzy podnoszą oczy, jakby w tłumie więźniów czy dipisów rozpoznali przyjaciela z dalekiego kraju. Dla tych słońce też wschodziło po zapomnianej wojnie nad mową, której dałeś wielkość. Ci nie zapomnieli o tobie. W ich milczeniu jesteś zawsze sławny, więcej niż cień. Jak wolno na klasztornej wieży bije dzwon całemu stuleciu, nagle wymarłej niegotowej dynastii i tej mężnej iluzji: awanturniczemu ja. Bo jednym strzałem skończyło się całe polowanie. D.H. Lawrence, ten poeta angielski z początku XX wieku. David Herbert Lawrence (1885-1930) Człowiek z Tyru Człowiek z Tyru poszedł raz nad morze rozmyślając, bo był Grekiem, nad tym, że Bóg jest jeden i zupełnie sam, i coraz bardziej sam będzie. A kobieta, która prała bieliznę u źródła pod skałą, tam, skąd strumień spływał i nikł w nadmorskim żwirze, rozpostarła swoje pranie na kamykach nad brzegiem, złożyła swoją koszulę na pochyłych skalnych płytach i brodząc w bladozielonym wieczornym morzu, szła na płytki zalew, spluskując się wodą. Potem odwróciła się, powoli szła z powrotem, za plecami mając niebo wieczoru. O śliczna, śliczna, z ciemnymi włosami upiętymi wysoko, zanurzająca się coraz głębiej i wynurzająca się stopniowo, jej pełne uda w powolnym ruchu, kiedy brnęła do brzegu, ramiona jasne od światła z milczącego nieba, dwie piersi niewyraźne i tajemnicze z wdzięczną wspaniałością zmierzchu między nimi i czarna kępka włosów podbrzusza jak znak niosący wieść mężczyźnie. Więc załamał ręce z zachwytu i wyszeptał: Patrzcie! Bóg jest jednym bogiem! Ale tu, o zmierzchu,

boska i śliczna Afrodyte z morza idzie ku mnie. David Herbert Lawrence
|Maximus Bóg jest starszy niż słońce i księżyc i nie zobaczy go oko, i nie opowie głos. Ale nagi mężczyzna, nieznajomy, u bramy, z płaszczem na ramieniu, czekał. Więc zaprosiłem go: Wejdz, jeżeli chcesz! Wszedł wolno i siadł przy ogniu. Mówię do niego: Jak się nazywasz? Spojrzał, nic nie mówiąc, ale taka cudność mnie ogarnęła, że uśmiechnąłem się do siebie, myśląc: bóg! Więc powiedział: Hermes! Bóg jest starszy niż słońce i księżyc i nie zobaczy go oko, i nie opowie głos: a jednak to jest bóg Hermes i siedzi przy moim ogniu.

David Herbert Lawrence |Pax Tylko to jest ważne: mieszkać u Boga żywego, być jednym ze stworzeń w domu, którym włada Bóg Życia. Jak kot śpiący na krześle w spokoju, w spokoju, w zgodzie z panem domu i panią domu, u siebie, u siebie, w domu żywych, spać u paleniska, ziewać przed ogniem. Spać u paleniska na żywym świecie, ziewać u siebie w domu przed ogniem życia, czuć obecność Boga żywego jak wielką ufność, wielką ciszę w sercu, obecność jak pana domu, co siedzi za stołem w jego własnym i ogromnym bycie, w swoim domu, w krainie żywych.

Wiersz rosyjskiego poety Josifa Brodskiego "Eneasz i Dydona", jest to jeden z jego młodzieńczych wierszy, ale Brodski całe życie wracał do motywów klasycznych, albo do mitologii greckiej, albo do Homera, albo do Starego i Nowego Testamentu. "Eneasz i Dydona" dotyczy epizodu w poemacie "Eneida" Wergilego, kiedy Eneasz bawił w Kartaginie u Dydony, zanim pojechał dalej, do Italii. Josif Brodski (1940-1996) Eneasz i Dydona Wielki mąż patrzył w okno. Ale dla niej Świat kończył się na rąbku jego greckiej Szerokiej tuniki, obfitością fałd Podobnej morzu, co znieruchomiało. Patrzył, wzrok jego był już tak daleko Od tego miejsca, że usta zastygły Jak muszla, w której trwa szum, i w pucharze Stężał horyzont. Podczas gdy jej miłość Była jak ryba, i nawet by mogła Popłynąć morzem w ślad za jego żaglem I gibkim ciałem rozcinając fale Dogonić go - choć on, niestety, W myślach już dobił do stałego lądu, I zamiast morza, było morze łez. Jednak, jak wiemy, dokładnie w momencie Rozpaczy, zrywa się pomyślny wiatr, I wielki mąż opuścił Kartaginę. A wtedy ona, stojąc przed ogniskiem, Które pod murem miasta rozpalili Żołnierze jej, widziała jak w drżącej Mgiele żaru pomiędzy płomieniem i dymem Rozpada się bezdźwięcznie Kartagina, Na wiele lat przed wróżbą Katona. (z rosyjskiego) Mary Oliver, znana poeta amerykańska, która bardzo dużo pisze o obserwacji przyrody. Mary Oliver (ur. 1935) Zimorodek Zimorodek wzbija się z czarnej fali jak niebieski kwiat, w dziobie niesie srebrny liść. Myślę, że to jest cudowny świat - jeżeli nie razi nas trochę umierania, czyi w całym życiu będzie choć jeden dzień bez błysku szczęścia? Ostatecznie więcej jest ryb niż liści na tysiącu drzew, zresztą zimorodek nie urodził się, żeby myśleć, o tym, o czymkolwiek. Kiedy nad jego głową zamyka się woda, woda jest tylko woda, głód jedyną prawdą, którą słyszał i może zrozumieć. Nie mówię, że ma rację. Ani nie mówię, że myli się. Nabożnie połyka srebrny liść z krwawą smuzką, wydaje ostry chrapliwy krzyk - tak krzyknąć nie potrafi moje myślące ciało, zawraca nad połyskliwe morze i będzie znów robić to samo (chciałabym coś tak umieć), robić doskonale. Denise Levertov, była to poetka amerykańska, sporo jej wierszy tłumaczyłem i umieściłem nawet w mojej antologii "Wypisy z ksiąg użytecznych". Denise Levertov (1923-1997) Kobieta spotyka dawnego kochanka On, z którym biegłam trzymając się za ręce, kopiąc skórzane liście w dół Oak Hill trzydzieści lat temu, zjawił się przede mną z niespokojną twarzą, błądy, prawie nie do poznania, niepewny, kulawy. On, którego nie pamiętam śmiejącego się głośno, ale widzę, jak uśmiecha się, zadowolony z siebie, płakał na moim ramieniu. On, który zdawał się zawsze brać tylko, nie dawać, którego tak długo nie mogłam zapomnieć, pamiętał wszystko, co dawno zapomniałam. Denise Levertov |Przepaska na oczy W tej ciemności odpoczywam, niegotowa na światło, które wschodzi dzień po dniu i wzywa do współludzkości. Czarny jedwabiu, chroń mnie. Potrzeba mi więcej nocy, nim otworzę oczy i serce na olśnienie. Muszę jeszcze rosnać w ciemności jak korzeń, niegotowy, niegotowy na pewno.

Poetka amerykańska May Swenson, która już nie żyje, mieszkała w Nowym Jorku. Wiersz pod tytułem "Pytanie". May Swenson (1913-1989) Pytanie
Moje ciało mój domie mój koniu mój psie gończy co ja pocznę kiedy mnie opuścisz
Gdzie będę spać jak będę jeździć na co polować Dokąd pojedę bez ciebie mój
gniady byłeś tak chętny i rączy Jakże odgadnę co w gąszczu przede mną skarb tam
czy może zasadzka bez ciebie moje ciało mój psie wierny i bystry kiedy umrzesz
Jakże to będzie leżeć na niebie bez dachu i drzwi z wiatrem zamiast oczu Z
chmurą na całą zmianę czym się zakryję? Poeta kalifornijski Steve Kowit,
którego dobrze znam i którego w pewnym sensie ja odkryłem i tłumaczyłem go; ten
wiersz jest chyba jednym z najbardziej interesujących jego wierszy. Steve
Kowit (ur. 1938) Ostrzeżenie
Dziś wieczór mocne dzinsy, które noszę
co dzień ponad rok i które wydawały się w doskonałym stanie nagle pękły Jak i
dlaczego nie pojmuję, ale stało się - duże pęknięcie w kroku. Miesiąc temu mój
przyjaciel Nick zszedł z tenisowego kortu, wziął prysznic, przebrał się i na
ulicy przewrócił się i umarł. Pamiętajcie, którzy to czytacie, padać od czasu
do czasu na kolana jak poeta Christopher Smart, i całować ziemię i radować się
i dobrze wykorzystywać czas i okazywać życzliwość wszystkim, nawet tym, którzy
na to nie zasługują. Bo choćbyście nie wierzyli, to nastąpi, was też któregoś
dnia nie będzie. ja, któremu dzinsy pękły w kroku bez żadnego powodu, zapewniam
was, że to prawda. Podaj dalej.

90 / 1